

## Louise Elisabeth Glück

### Fantazja

Powiem ci to: każdego dnia  
ludzie umierają. A to dopiero początek.  
Codziennie w domach pogrzebowych rodzą się  
nowe wdowy,  
nowe sieroty. Siedzą z założonymi rękami,  
i zastanawiają się, co robić w nowym życiu.

Potem idą na cmentarz, niektórzy  
po raz pierwszy. Boją się płakać,  
i nie płakać. Ktoś się nachyla  
szepcze, co robić dalej,  
często jest to kilka słów  
jak to, by wrzucić bryłę błota  
do rozwartego grobu.

A potem wszyscy wracają do domu  
gdzie nagle zebrał się tłum.  
Wdowa siedzi na kanapie, bardzo dostojnie,  
więc ludzie ustawiają się w kolejce,  
czasami biorą ją za rękę, czasem przytulą  
Jest w niej słowo dla każdego –  
dziękuje im, dziękuje za przybycie.

Gdzieś w głębi serca chce, żeby wszyscy wyszli.  
Chce wrócić na cmentarz,  
z powrotem na oddział, do szpitala. I ona o tym  
że to jest niemożliwe. Lecz to jej jedyna nadzieja  
wszystko powrócić. Tam, niedaleko,  
gdzie ślub i pierwszy pocałunek.

*Tłumaczenie: Tadej Karabowicz*

## Adam Lewandowski

### Nobel 2020

## Louise Elisabeth Glück

Bardzo się ucieszyłem, że laureatka jest poetką – bo przecież od czasu Wisławy Szymborskiej i Boba Dylana pomijano poezję. Louise Glück urodziła się w Nowym Jorku w 1943 r., dorastała na Long Island. Uczęszczała do Sarah Lawrence College i Columbia University. Obecnie pracuje na Uniwersytecie Yale, mieszka w Cambridge w stanie Massachusetts.

Glück jest bardzo wrażliwa, analizuje stan samotności, relacje rodzinne i ich rozpad, a tak-



że tematykę śmierci. W swojej twórczości często nawiązuje do mitologii rzymskiej i greckiej. W jej tomikach pojawiają się postaci borykające się z następstwami nieudanych romansów, katastrofalnymi spotkaniami rodzinnymi i egzystencjalną rozpaczą. W Polsce wiersze Louise Glück ukazały się w antologii "Dziki brzoskwinie" (2003), prezentującej teksty amerykańskich poetek od czasów Emily Dickinson. Jej utwory tłumaczyła Julia Hartwig.

77-letnia Louise Glück to szesnasta kobieta uhonorowana literackim Noblem. Jest autorką kilkunastu tomów wierszy, najnowszy - "Faithful and Virtuous Night" (Giroux, 2014) zdobył National Book Award w kategorii "poezja". Inne jej tomiki to m.in.: "Poems 1962-2012", "A Village Life: Poems", "Averno", "The Seven Ages", "Vita Nova", "October". Noblistka jest też autorką m.in. tomów "Meadowlands", "The Wild Iris", "Ararat", "The Triumph of Achilles", a także esejów, takich jak: "Proofs and Theories: Essays on Poetry" (Ecco Press, 1994).

Ogłaszając werdykt, Szwedzka Akademia podkreśliła, że nagroda przypada w tym roku Glück za jej *bezbłędny poetycki głos, który z surowym pięknym czyni indywidualną egzystencję uniwersalną*.

- Z powodu pandemii niestety Louise Glück nie przyjedzie do Sztokholmu, by odebrać Literacką Nagrodę Nobla. Będziemy starać się zorganizować ceremonię przekazania nagrody przy współpracy partnerów w USA, a na uroczystość zaprosić laureatkę w przyszłym roku - powiedział sekretarz Akademii Szwedzkiej Mats Malm.

Glück pochodzi z rodziny przedsiębiorców, jej dziadkowie - węgierscy Żydzi - przyjechali do USA na początku dwudziestego wieku. Ojciec miał ambicje pisarskie i wychowywał swoje trzy córki w kulcie literatury. Jako nastolatka Glück zachorowała na anoreksję. Ona sama, po latach, w jednym z esejów opisała ją jako efekt prób uwolnienia się spod wpływu dominującej matki. Innym razem łączyła swoją chorobę ze śmiercią starszej siostry, która zmarła jeszcze przed jej narodzinami. Leczenie z anoreksji (m.in. terapią psychoanalityczną) trwało siedem lat i zakłóciło tok edukacji przyszłej pisarki, która studiowała wówczas w Sarah Lawrence College na Columbia University, ale nie uzyskała stopnia naukowego. Gdy zyskała sławę jako pisarka, pracowała jako wykładowca poezji na różnych uczelniach.

W 1968 roku Glück opublikowała pierwszy tomik wierszy "Firstborn", który zebrał pochlebne recenzje. Po debiucie poetka cierpiała jednak na blokadę twórczą, która ustąpiła dopiero w 1971 roku, gdy Glück rozpoczęła wykłady poezji na Goddard College w Vermont. Wiersze napisane w tym okresie złożyły się na tomik "The House on Marshland" (1975). Eksperci, podkreślają, że wybór Louise Glück jest słuszny, ale nie była ona faworytką. - *To jest w pełni godny laureat, choć nie jest to prosta poezja, wymaga od czytelnika uwagi* - stwierdził szwedzki wydawca Hakan Bravinger. Media wskazywały, że literackiego Nobla otrzymać może kanadyjska poetka i pisarka Anne Carson. Liczono również na wybór przedstawiciela kontynentu afrykańskiego.

W „Historii literatury amerykańskiej XX wieku” (pod red. Agnieszki Salskiej) można przeczytać: „na tle ówczesnej literatury celebrującej na wszelkie sposoby kobiecość, kobiecą seksualność i kreatywny potencjał oraz kobiecą harmonię ze światem, poezja Glück brzmi niemal anachronicznie. Jej pierwsze wydawnictwa (...) to jeden, rozpisany na wiele głosów protest przeciwko zniewoleniu, jakie, jej zdaniem, implikuje kobiecość. Zniewolenie to tylko częściowo jest rezultatem patriarchalnego porządku; jego źródłem jest sama natura czy (...) Bóg – stwórca nie dwóch, ale trzech pierwszych istot: mężczyzny, kobiety i kobiecego ciała. Natrętna seksualność tego ostatniego, jego wiecznie niezaspokojone potrzeby i biologiczne funkcje czynią z kobiety człowieka pozbawionego kontroli nad sobą i swoim życiem

Z maila do redaktora „Protokołu”:

*Ja przetłumaczyłem ten wiersz Louise Glück jakby okazjonalnie, gdy dowiedziałem się, że ona otrzymała Nagrodę Nobla. To nie było moje zaskoczenie. To była moja pozytywna reakcja na poetkę, którą czytałem dawno w oryginale i którą mi rekomendowali moi ukraińscy przyjaciele z Nowego Jorku jeszcze w latach 90, gdy ona była już gwiazdą na niebie poezji, ale jeszcze bez nagrody. Była po prostu Poetką. Teraz widzę komentarze, że jej przodkowie pochodzą z Europy. A Ameryka, czyż to nie jest Europa? Wszyscy tam są z Europy!* Wiersz „Fantazja” wzięłem z Internetu, przesyłam także wersję angielską. O Louise mówił mi już w latach 90 Bohdan Bojczuk, którego tłumaczyłem na j. polski. Miał kontakty literackie z Davidem Ignatowem i Stanley Kunitzem:

<https://www.poemhunter.com/poem/a-fantasy/>

Tadej Karabowicz

Karol Samsel

## Wyróżnić, czyli wyłączyć

Na początku, jeżeli Państwo oczywiście pozwolą, słowo o idei oraz – jeśli mogę się tak wyrazić – etosie Konkursu im. Kazimierzy Iłakowiczówny na debiut poetycki. Ażeby ów etos wiernie odzwierciedlić, odwołać pragnąłbym się do nietypowego (i nieoczekiwanego) tutaj z pewnością cytatu, albowiem cytatu z Michela Houellebecqa, skandalicznego artysty-pisarza, autora *Uległości* oraz *Serotoniny*. Odbierając Nagrodę Oswalda Spenglera za rok 2018 w Brukseli, pisarz, zupełnie nieoczekiwanie dla swoich słuchaczy, wyraźnie się bowiem odślaniając, odniósł się do własnego rozumienia literatury. Cóż, nie muszę zapewne tu zaznaczać, że było to rozumienie na wskroś oryginalne i swoiste – że Houellebecq nie mógł nie zaskoczyć, utrzymując, że wierzy w istnienie... doskonałości pisarstwa poza wszelkimi estetyczno-artystycznymi konkurencjami i agonami, uznając je jedynie za wyjątkowo prymitywną biologiczną funkcję gatunku ludzkiego. Wyrafinowanie w wymiarze przetrwania oznaczać powinno zaś coś dalece bardziej złożonego niż stawanie w szranki z reprezentantem tego samego gatunku, bo zdolność ominięcia pułapki ślepego współzawodnictwa. Houellebecq tłumaczy:

Jeśli chodzi o dobrobyt narodów: najlepszy sposób przeżycia nie sprowadza się do tego, by produkować to samo, co wszyscy i być bardziej konkurencyjnym – najważniejsze, by wytwarzać coś, czego nikt inny nie potrafi. W dziedzinie kultury: **jeżeli moje książki przetrwają, nie stanie się tak dlatego, że są lepsze niż inne, ale dlatego, że się od nich różnią.** W zapomnienie nie popada ten autor, który pisze książki, jakich nikt inny nie mógł napisać [podkr. moje – K. S.].

„Nie dlatego, że są lepsze niż inne, ale dlatego, że się od nich różnią”, to słowa istotne o książkach, mogłyby z powodzeniem stać się dewizą ambitnego konkursu na debiut. Dodajmy, to zarazem słowa dla debutanta niezwykle wymagające, o wiele trudniej w mojej opinii wypatrzeć bowiem w debiutach (szczególnie już w debiutach poetyckich, silnie zdominowanych przesłaniem „uprzemysłowionego” rynku nagród) inność artystyczną... aniżeli artystyczną doskonałość. Czy tegoroczni laureaci 36. edycji Konkursu im. Kazimierzy Iłakowiczówny, Monika Lubińska za tom *nareszcie możemy się zjadać* oraz Piotr Jemioło za tom *Nektrotrip* spełniają ten wyśrubowany wymóg? Czy udało im się mimo wszystko wyłamać poza pewien „przemysłowy” (utrzymam tę metaforę) próg osiągnięcia stylistycznej doskonałości?

Zacznijmy od erudycji. I Lubińska, i Jemioło mają na nią dość sprecyzowany pogląd – nie da się ich w tym względzie pogodzić: w żadnej mierze. Jemioło to młodociany trickster i starzec-ironista o twarzy dwudziestokilkulatka, znakomity w partiach lirycznych, nazbyt łatwo natomiast poddający się w mojej opinii strumieniowi łotrzykowskiej kreacji. Jest zdyscyplinowany, w o wiele mniejszym stopniu grozi mu tautologia artykulacji czy też logorea wypowiedzi aniżeli groziłaby Lubińskiej, dziś świetnej, ale w przyszłości – mogącej łatwo zbroczyć na mielizny tzw. transhumanistycznej traktatowości. Co do Jemioły: fraza o młodocianym starcu nie wzięła się u mnie znikąd, to

część zeznania podmiotu lirycznego wiersza *katastaza w pętli*: „wprawiono w ruch za 20-letnim starcem / elejską strzałę” (gwoli precyzji dodajmy, że w momencie przyjmowania nagrody Iłakowiczówny – co nie dokona się w swojej zwyczajowej formie z racji trwającej pandemii – Jemiolo ma już lat 31).

Figura „20-letniego starca” jest tu zresztą niezwykle symptomatyczna. Odsyła bowiem do mitu o *puer senex*, a więc legendarnym „chłopcu starcu” przychodzącym na Ziemię w momencie największego jej tragicznego apogeum (to tytułowa „parastaza” Jemioly). *Puer senex* reprezentuje mityczną nadzieję na nadejście, niejako *deux ex machina*, pokolenia młodych doświadczonych w cudowny zupełnie sposób ratujących zmartwiały ustrój chylący się z winy starych ku upadkowi (nieprzypadkowo mit ten narodził się w upadającym Imperium Rzymskim). Cóż z młodziutkiego mesjasza jednak, jeśli ten z wiersza Jemioly uchodzi z przeznaczonego sobie planu mesjańskiego, wykorzystując pierwszą nadarżającą się ku temu sposobność? Tak, jak prometejska, zostaje u Jemioly również skompromitowana i odyseuszowa wizja losu, katabaza poznania, odyseja umysłu poznającego w wierszu *Katabaza jako forma joggingu*. „Pikować po spirali aż do barysfery: / z dumą pionierów zatknąć flagę na dnie”, sprawozdaje złośliwie podobne ofiarnicze wyprawy Jemiolo, ale i ja wobec niego będę złośliwy, odwdzięczając się tym samym.

„Katabaza jako forma joggingu”, powiadałby z przekąsem poeta? A może jest całkiem odwrotnie? Może „jogging jako forma katabazy”? Frapujące jest u Jemioly to łączenie trasgresyjnych greckich kategorii (wielkich w swoim pierwotnym zamyśle) z bieganiem, tym bardziej, że autor *Nekrotripa* gotuje nam również „joggingowy” koniec całości książki: „epifanie spaliły się // w słońcu, biegiem”. Trudno uwolnić się od skojarzeń z wierszami Marcina Orlińskiego z tomu *Tętno*. Jemiolo, można by tak chyba powiedzieć, chwyliwie (ale i nieco nazbyt jakrawo) przepisuje *Tętno* Orlińskiego na język estetycznej metafizyki: „jogging” jest dla niego odpowiednikiem równie ironicznego stosunku do narzędzi greckiej tragedii – katabazy, katastazy oraz epifanii, co dla romantyka ironicznego „szybowanie”, kpiarskie unoszenie się nad tekstem, „permanentna parabaza” stylu, ujmując rzecz już zupełnie precyzyjnie, jak ujęli to swego czasu Friedrich Schlegel oraz Paul de Man.

Lubińska stawia w tomie zaporę wszelkiej intertekstualności, nie tylko tej klasycznej lub śródziemnomorskiej. Gdy pisze w wierszu *czym jestem*, że „w odróżnieniu od kulistych skupisk / materii zdegenerowanej / świec(i) światłem odbitym / od języków palców mózgow przepon, / innych małych planet”, jest w tym pewna ontologiczna rozrzutność, tak charakterystyczna dla transhumanistycznego arcyzmu, mogąca się świetnie kojarzyć z pewnymi dziełami przeszłości, choćby – *Pieśniami Maldorora* Lautréamonta. Przypomnijmy, Maldoror na pełnym morzu dziko, upajająco i we wzbudzającym przerażenie, niekończącym się zespoleniu spółkował z samicą rekina, pod postacią ośmiornicy zaś oddał się ostatecznej walce – na śmierć i życie – z samym Bogiem. Pod postacią ośmiornicy, która z „serajem czterystu ssawek” stanowić miała dla Lautréamonta istotę doskonałą Ziemi w ogóle („jej dusza jest nierozdzielna z moją”, zwykł powtarzać poeta w uniesieniu).

Tak, Lautréamont mógłby być znakomitym patronem pisarstwa transhumanistycznego. Czy jednak młodzi transhumaniści, w szczególności młodzi poeci transhumanistyczni – Lautréamonta czytają? Czy czyta lub czytała go Lubińska? Nie wiem, nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że bez *Pieśni Maldorora* nie byłoby wspólnych arcydzieł literatury transhumanistycznej chociażby w rodzaju *Możliwości wyspy* wspomnianego tu Houellebecqa. Lubińska tymczasem potrafi odnaleźć się zadziwiająco blisko intuicji Lautréamonta, bo jeżeli ośmiornica jest w *Pieśniach...* symbolem transhumanistycznego uniesienia człowieka, uniesienia, które kosztuje go całą rozkosz autodestrukcji, to czym są u Lubińskiej „ślimaki achatina” pochłaniające u poetki „wiele bibliotek” świata? Tu właśnie docieramy do istotnej kwestii erudycji Lubińskiej. Zaryzykuję tezę, że ośmiornica Lautréamonta pokonująca Boga, a także ślimaki Lubińskiej zjadające biblioteki świata to jeden i ten sam, w rzeczy samej, gest zanegowania i sprzeciwu względem tradycji humanistycznej w dwóch wariantach oddalonych od siebie w czasie. I doprawdy – nie interesuje mnie, czy Lubińska Lautréamonta zna czy nie. Jej oko nie jest moim okiem, a jej dzieło nie jest moim dziełem, dzisiaj zresztą – czas pewien po jego stworzeniu – Lubińska jest w tym samym stopniu odbiorcą swojego tekstu, co ja.



Myślę, że dobra laudacja jest krytyką. Jeśli pozostaje afirmacją, widomie dokłada się do „uprzemysłowionego” *status quo* współczesnej literatury. Co do krytyki Lubińskiej zatem – nie jestem pewien, czy reprezentuje ona model współczesnej poezji transhumanistycznej, raczej widzę w niej poetkę transsomatyczną, neutralizującą i dekonstruującą odyseje, doświadczenia, przygody ciała. Owszem, zabawia się Poświatowską, choćby

wówczas, gdy zaświadcza, że „dostała wąskie pęciny umierających saren”, ale to zaledwie kroniki przelotnych literackich znajomości, o wiele więcej w jej tomie Justyny Bargielskiej, a niektóre wiersze, choćby takie, jak **\*\*\*[urodziłam synka, który jest niezbędny...]** równają poziomem do głośnego *Dziecka z darów* tej autorki, chociaż Lubińska tomowi Bargielskiej nie mogła zapewne znać przed wydaniem swego debiutu: *nareszcie możemy się zjadać* i *Dziecko z darów* to równolatki, książki z tego samego 2019-ego roku.

Można ich nazwać za pomocą powszechnie znanych terminów dzisiejszych humanistyki. Ona jest „liberalną ironistką”, a jej „liberalny ironizm” dobrze widać w wierszach, takich jak np. *niepokalane poczucie* zaświadczaające o osobliwym przeżyciu „znalezienia się w ciąży z fasolką szparagową”. On zaś to złośliwy trickster sięgający o wiele dalej niż do repertuaru ogrywanych chwytów intelektualno-retorycznych. Mimo wszystko wciąż poruszają się po zastanej matrycy odniesień kulturowych, należy ich toteż demaskować, do tego (m.in.) powinna posłużyć również niniejsza laudacja. W sprawie Jemioły, dajmy na to, nieco drażni mnie łotrzykowska maska jego poetyckiego *porte parole* w *Nekrotripie*. Niełatwo mi zgodzić się z Jerzym Jarniewiczem, który zachwala wiersze Jemioły jako literaturę złego i brudnego smaku, tzw. *mondo poems*. Nie, wedle mojej oceny Jemioło jest daleki od przesady kampu, to zaś, co jest brane w *Nekrotripie* za kampf, jest typem pewnego dość zwyczajnego łotrzykostwa, czy też – awanturnictwa, dość zwyczajnego jako postawa, nastawienie, ukierunkowanie na świat, artystyczny światopogląd. Nie warto mylić jednego z drugim – szkodząc być może w ten sposób autorowi.

To zresztą za sprawą pewnych łotrzykowskich ciągów przekaz tekstów Jemioły ulega gdzieś niedziele wykołajeniu, do podobnego wykołajenia, przede wszystkim do infantylizacji imaginarium – kampf by nie doprowadzał, redukcja podobnego rodzaju nie leży w jego naturze. Infantylnie są u Jemioły np. kolejne multiplikowane peryfrazy, „karawan / krążownik polskich szos / ulubiony resorak grabarzy” z *Instrukcji dla aspirujących grabarzy* bądź też wyliczenia w rodzaju „coaxin, zomiren, perazyna, asertin, inne bobofruty” z *mapy punktów węzłowych*.

To już zdecydowanie potknięcia, potknięcia poety, któremu trywialna, niedyscyplinowana swada przesłania w pewnym istotnym jednak stopniu zgoła niebanalny warsztat. Jemioło oczywiście zwycięża, ale dopiero wówczas, kiedy swoje łotrzykowskość potrafi pożenić z wartościami łotrzykowskością przeciwstawnymi, dla przykładu – z liryzmem. I gdzieś niedziele, owszem, klimat *mondo* czytelnikowi się udziela, jak w znakomitym, skatologicznym wierszu *Literaturo*, o „pewnym” numerze „Literatury na Świecie”, ale to za mało, aby cały tom szczerze mianować określeniem *mondo book*. Owo połączenie *mondo*, liryzmu i łotrzykowskiego nastawienia wybija się na tle innych jakości niezwykle poza tekstem *Literaturo*, rzadko, i to raczej w pojedynczych wersach, takich jak „posłyszcie swąd wyściółki pod cielskiem spaślaków” aniżeli w poszczególnych lirycznych całościach.

Tymczasem Jemioło – jeżeli tylko tego chce – potrafi być niebywale lirykiem, lirykiem *à rebours* jest dla przykładu dedykowany przedwcześnie zmarłemu Mirosławowi Nahaczowi wiersz 89 nie tylko o niepokojącej predylekcji nekrotycz-

nej, lecz już – tej nekrofilskiej, jak miemam. Wielka szkoda, że owe nekroza, pod pewnymi warunkami już nekrofilia obrazowania muszą w dalszych partiach książki ustąpić funeralizmowi ujęć – jest w tym co prawda jakiś zamysł poetyckiej syntezy, jakoby przemysł pogrzebowy i przemysł literacki stanowiły tu awers i rewers tego samego zdezwuowanego oraz skorumpowanego środowiska, lecz – nieco szkoda konceptu wstępnego.

Przy Lubińskiej wspominałem o poezji Bargielskiej jako istotnym dla wyzewnętrzeń tej akurat autorki literackim intertekście. Przy Jemiole – intertekstualność jest bodaj najważniejszym sposobem spełniania się wszelkich funkcji tekstu poetyckiego, a zatem – najkrócej mówiąc – bez intertekstualności nie ma w *Nekrotripie* jakiegokolwiek imaginarium: imaginarium jest czymś w rodzaju nie tyle przedstawienia, co raczej – przedstawiającego, międzytekstowego odesłania. Prześledźmy, do jakich tekstów literatury i kultury poeta się odwołuje: mamy jaskrawo widoczne aluzje, czyli *Matkę Boską płatnych morderców* Fernanda Vallejo, „południowoamerykańskiego Robin Hooda”, Jesusa Malverdo, Ołeksandra Irwanecia, autora *Choroby Libenkrafta*, Gombrowicza, czyli w „łotrzykowskiej lekcji” Jemioły, „świętego Witolda herbu Kościesza”. Mamy Europejskiego Poetę Wolności z 2012 roku – Dursa Grünbeina, „tą od mądrości krwi, nie tą łysą”, czyli Flannery O'Connor (nie Sinnead), mamy artystów polskich wpisanych w zjadliwe Jemioły etiudy, a także etiudki z życia polskiego przemysłu literackiego: Podgórnego, Sadulskiego, Taranka bądź Kulikowską, mamy w końcu kpiny z artystycznych, dość sezonowych mód polskich poetów na poliamorię.



Wiele tego, a to przecież nie koniec, bo poza aluzjami widowymi są jeszcze narzucające się sugestie historyczno- i krytycznoliterackich odniesień Jemioły. Przykładowo: „Poznasz po wylince moje prawdziwe imię” z wiersza *PIG*, czy to nie pewna złośliwość lub przynajmniej dwuznaczność sformułowana w kierunku autorki *Wylinek*, Joanny Mueller? Z kolei refrenicznie ponawiana w wierszu *Pionierzy* formuła „i szli całą noc”, „szli całą noc”, „nie byli już dziećmi” (w którymś z wierszy pojawi

się już wprost motyw krucjaty) – czy nie jest to zakamuflowane odniesienie do ostatniego zdania *Bram rajy* – najsłynniejszej może polskiej antypowieści Jerzego Andrzejewskiego (poza *Miazgą* tego samego autora), utworu o krucjacie dziecięcej złożonego z jednego ciągnącego się przez cały tom okresu zdaniowego, a także z drugiego esencjonalnego zdania „I szli całą noc” wieńczącego całość strumienia narracji *Bram rajy*, niejako akcentującego i zatrzymującego tej narracji rytm.

Gdzie Jemiolo-erudyta mówi o sobie samym jako poecie? Co do jego samego jako twórcy, poeta nie zgadza się na słynne równanie Arthura Rimbauda „Ja to ktoś inny”, tak jak nie godzi się na bezmyślnie, nowinkarsko przyjmowany pakt antymimetyczny: „ja to nie ja ani nikt inny”, tłumaczy, dodając, „nie wierzę w nieprzystawalność słów do rzeczy / choć nie chcę skończyć jak czarny strecz / wokół kartonu o podejrzanej zawartości”. Cóż, nie wierzyłbym jego zarzekaniu się przeciwko formułom Rimbauda, w wierszu *PIG* czytamy już bowiem coś bardzo z ducha autora *Sezonu w piekle*: „będąc naraz mordercą, śledczym, ofiarą – / rdzawy rekwizyt wywabiam z luminolem”.

Przenieśmy się w obszar liryki Lubińskiej. Wielkim atutem jej pisarstwa jest jego językowy obraz świata, a właściwie konsekwentne uzyskiwanie efektu rozpadu owego obrazu świata wraz z pogłębianiem się transhumanistycznej perspektywy podmiotu. „Tkanka dla wzrostu / rozłogi dla wzrostu / wszystkim byliny / obojgu zielne / jednemu trawa”, zapisuje poetka w puencie wiersza *wiechlinowaci*. „Kobieto mężczyzno / poskładajcie wasze łokcie / klik klik do pokrowca i w kosmos”, czytamy z kolei w *festiwalu latających ryb*. To język naturalnie opuszczający swojego humanistycznego nadawcę. Opuszczenie owo, owa secesja, można rzec, dokonuje się spokojnie, bez jakiegokolwiek wybiegu, tricku, wymuszenia. Czytając tomy takie, jak *nareszcie możemy się zjadać*, rzeczywiście przytępać można się na odczuciu, że na nic wszelkie formalne, pozaformalne eksperymenty, że czasami przeminąć musi kilka pokoleń, aby językowy obraz świata, którego niewolnikiem jest nasz sposób opowiadania, ustąpił pod naporem innego opisu świata, np. mniej antropocentrycznego. To bowiem, co Italo Calvino osiąga z pomocą eksperymentu narracyjnego w *Opowieściach kosmicznych* z 1965 roku (m.in. nakazując przemawiać odnarratorsko pyłowi kosmicznemu), w 2020 roku Lubińska osiąga bez sięgania po jakiegokolwiek koncepty, rusztowania czy innowacje. Jej skala depersonalizacji konfesji lirycznej zdecydowanie przewyższa możliwości depersonalizacji opowiadania, którymi jeszcze pół wieku temu dysponował, legitymował się genialny i pomysłowy Calvino. I to nie kwestia warsztatu, bo w nim Calvino Lubińską przekracza po wielokroć, a wrażliwości, świadomości, m.in. tej ekologicznej i czujnej spostrzegawczości. W 2019 roku Lubińska może spostrzec już o wiele więcej aniżeli jeszcze pięć lat wcześniej Bronka Nowicka, autorka nagradzanego *Nakarmić kamień*. I z tego naddatku wiedzy i czasów – Lubińska czyni stosowny użytek.

Tym bardziej mam do niej żal o promocję pewnego naiwnego punktu widzenia podmiotu. Z braku lepszego określenia nazwę go russelskim. „Wywlec z siebie szkielet / kilka układów / z własnych zewnętrznosci / zrób sobie dom / taki do którego nikogo nie można zaprosić”, notuje poetka w wierszu *ślimaki, brzuchonogi*. Owo zbycie się siebie, własnych organów, wnętrzości, hormonów,

genów, a także genomów, zbycie się przypominające zeświecczoną formę dawnego religijnego *askesis* – to przecież utopia, całkowite pomylenie zbywalnego z niezbywalnym, maski z twarzą, kostiumu z ciałem etc. Lubińska tkwi w wielkiej transsomatycznej utopii, upojona wizją własnego upragnionego *askesis*, lecz jej tęsknota za przedustawną nieomal jednością świadomości ludzkiej z naturą zdaje mi się tylko sublimacją głębokiej melancholii, reprezentowanej oczywiście nie wprost, przez podmiot liryczny tomu. Ta melancholijna wiara w powrotną, russelską jedność wszystkiego ze wszystkim, w organiczną całość ludzko-zwierzęcych i zwierzęco-ludzkich stopów owocuje liryką – jak już podkreślałem – transsomatyczną, ale nie transhumanistyczną, bowiem do transhumanizmu, takiego, jaki na gruncie polskim reprezentuje Olga Tokarczuk książką *Prowadź swój plug przez kości umarłych*, na gruncie europejskim natomiast Houellebecq z wymienioną *Możliwością wyspy* – brakuje Lubińskiej dobrze sformułowanych pytań etycznych i płaszczyzny wewnętrznego dramatu zdolnego przełamać wytworzoną przez autorkę, melancholijną, ale także jednostajną niestety – snutą przez siebie transsomatyczną utopię. Wszystko jednak jeszcze przed nią, tak jak wszystko przed nie gorszym od niej, chociaż chyba bardziej świadomym literacko i tekstualnie Jemiolo.

„Nagroda za ciałokształt”. Być może ta właśnie metafora Lubińskiej przede wszystkim powinna znaleźć się w finale niniejszej laudacji. Wyraża ona niebywale wiele. Przede wszystkim: perspektywę zwątpienia oraz rozczarowania młodych poetów przemysłem nagród literackich. Po nich: pogardę i protekcyjność wielu z nich wobec tego, co uprzemysłowione. Również z tego powodu niniejsza laudacja stała się – poza sobą samą – także i regularną krytyką nagrodzonych tomów. W całkowitej zgodzie z intuicją Michela Houellebecq’a uważamy bowiem, że zadaniem konkursowej kapituły jest / winno być wyłączyć debiutanta z cyrkulacji literackiej rywalizacji oraz współkonkurencji, **wyróżnić, czyli wyłączyć** – nie zaś w ów obieg włączać, zasilając nim nader ponurą kolejkę następnych „darwinowskich widm”, „widm” literatury. A czy podobnemu zadaniu jesteśmy w stanie sprostać, i to nie jako teoretycy, praktycy, czy też ktoś pomiędzy – lecz jako kapituła określonego, ograniczonego możliwościami konkursu? Pewnie nie, wyzwanie podobnego rodzaju przekracza nieraz ludzkie siły, możliwości, a także kompetencje. Dobrze będzie, jeśli podobną wizją uprawiania literatury, wizją usiłującą ominąć darwinowskie pułapki całej twórczej biologii, chociaż w pewnym stopniu zdołamy zaintrygować (bo przecież – nie ją upowszechnić). Paradoksalnie rzecz biorąc... to także rodzaj transhumanistycznego heroizmu.

---

*Tekst laudacji wygłoszonej na rozstrzygnięciu 36. Konkursu im. Kazimierza Iłakowiczówny na debiut poetycki 2019 roku:*

*P. Jemiolo, „Nekrotrip”,*

*M. Lubińska, „nareszcie możemy się zjadać”.*

Anna Andrych

**Tyle tylko po nas**

*Pamięci Romana Śliwonika*

odkąd Ciebie nie ma  
nic się nie zmieniło nadal tęsknimy  
Tobie podobni i ja za tym  
czego nie możemy zobaczyć i dotknąć  
winne coroczne starzenie się świata

coraz częściej gesty się kruszą  
ulatuja z pamięci wyludnioną ulicą  
słońce świeci z ukosa  
i nawet kolor ścian domu  
jest nagi

nie wspomogą nas chłopcy  
pisałeś o nich pulsowaniem krwi  
pozostało  
tylko wzruszenie

mówiłeś że poezja  
jest nią kiedy wierna prawdzie  
żyje własną metaforą  
wibrującą bólem  
tutaj nie w pełni się zgadzam

otwieram okno  
ktoś na fortepianie gra Chopina  
i nagle w gorzkiej pustce  
rodzi się strumień wiersz zaczyna  
oddychać

po długim czasie namysłu i poszukiwania  
właściwego wyrazu

tyle tylko po nas  
ile wymówimy siebie  
za pomocą żywej tkanki wiersza

Maria Ciążela

**sami sobie**

niosą swoją historię  
w kawałkach upchniętych  
między starą gazetą  
dziurawym swetrem  
czerstwym chlebem  
opróżnioną do połowy butelką

od zmierzchu do świtu  
szukają korzeni  
przywołują w pamięci  
kromkę chleba  
pachnącą masłem  
i ciepłym dotykiem rąk

Stanisław Chyczyński

**Bóg zapłac**

*Wojtkowi Wierciochowi*

Siedzem na skałce Rusom se palcem  
legutko w nosie WcorakCieprosił  
coby nie łoło nad mojom głowom  
kiebede w Tatrakłononć jak watra

Biołykrziz w chmurak ka wielgo dziura  
słónkose łysko het ku piorzyskom  
holofi woda po styrbnyksodak  
diasek siekrynci na OrlyjPyrcki

Pociyrzwteworcekie Bóg dło tobie  
zrzdńzicasmiyły ba nie w połowie:  
dyćniegzesłónko przebodzie zymno!

Fcioteksie modlić w górskim kościelcu  
zaś przisła lejba – kóniec na miyjscu  
Hej dobry Bozezapłac nade mnom...

**Dojenie byczka**

Pluszowy byczek nęci jałówki  
chętnie do figli (nie tylko w nocy)  
Duping jest dobry gdy mało-ufny  
lęka się ostro przez gęstwę kroczyć

Gorący bydlak może być groźny  
(dla wszystkich zagród) nawet jak trotyl  
Wystarczą usta ze słówkiem sprośnym  
tudzież pończochy szelmowski dotyk

Bywa że Redbull cierpi sam w stajni  
jakby miał mniszkę za dziwożonę  
więc ręko-lekcje sobie tam daje...

Ona mu prawi że zdążył zmarnieć  
(jednak ze złością strzela ogonem!)  
Czasem jest dobrze nie być buhajem.

**Falstart 1978**

Ileż to razy, na skraju obrazy  
Boskiej czy ludzkiej, mnożyłem obrazy.  
Byłbym artychą, gdybym miał dyplomy;  
Padłem na starcie. I poszły w dym – plony...

Jednak te dymy Bogu nie podeszły,  
Więc od matury (aż po wiek podeszły?),  
Mogłem się wgryzać w twardy smak odmowy.  
Ot, głupiec został mądrałą od mowy.



## W zaczarowanym ogrodzie

**Wiesław Koronowski** posiada w swoim dorobku wiele rzeźb, pomników, statuetek i medali. Jego rzeźby są bardzo różnorodne, ale łatwo je rozpoznać, mają indywidualny charakter. Czasem są nadzwyczaj realistyczne, dokładnie odwzorowane, wygładzone i poważne, a czasami bywają jak postacie wyjęte z bajek, jak zawieszzone w powietrzu istoty z innego, niezemskiego świata, chropawe, fragmentaryczne i tajemnicze. Gdy odwiedzam ogród rzeźbiarza, w którym znajduje się wiele prac, mam wrażenie, że przekraczam jakąś granicę pomiędzy światem realnym a tym magicznym, zaczarowanym, jakbym przechodziła, wzorem Alicji, na drugą stronę lustra. Zewsząd spoglądają na mnie ciekawskie oczy, wyciągają się okaleczone ramiona, prężą się nagie torsy. Z trawy unoszą się fragmenty twarzy, pragną choć przez chwilę ze mną porozmawiać. Anioł Podśłuchiwacz wytęża swoje ogromne ucho, chcąc usłyszeć moje splątane myśli. Moim krokom towarzyszy cicha muzyka – to smutny młodzieniec, unieruchomiony na drewnianym postumencie, oplakuje na srebrnej trąbce utratę nóg. Nie mogąc dłużej znieść tego smutku wchodzę do domu, gdzie witają mnie dziesiątki twarzy. Każda z nich ma inny makijaż, kryje się za inną maską. Klaun ze łzą w oku zgubił swój czerwony nos, pewnie wczoraj wypił zbyt wiele wina. Opalona dama przesadziła w solarium, nawet jej słoneczne okulary pokryły się czernią. Muzułmanka schowała się za czarczafem, tylko jej oczy błyszczą jak gwiazdy. Tył kobiecych głów ma kształt jabłka - każda z nich to symboliczna Ewa, która zgrzeszyła w raju, zrywając owoc z zakazanego drzewa. Twarze, twarze i makijaże... Wszystkie przemawiają własnym, niepowtarzalnym pięknem Nie będę im dłużej przeszkadzać. Wracam do ogrodu.

## Stanisław Romaniuk

### Grzybobranie

Brzoza jak cisza.  
Mech pyszni się pod stopą,  
Długa, krzywa noga dźwiga ciężki kapelus  
Nim skłoni się ostrzu –  
Tak umiera Kozak.  
Borowik wsparł się o pień  
I odpiera atak Czarnego Ślimaka,  
Aż stado Kurek przycupnęło w popłochu,  
A Gąska zagrzebała się w piasku.  
Nóż bezszelestnie  
Wrywa je z krwiobiegu grzybni.  
Tylko Muchomór  
Złośliwie szczyrzy cętki – dopóki  
Kopniak nie rozniesie go na strzępy.  
Drzewa nieruchomieją,  
Jak zawsze, kiedy świadczą gwałtom.

## Mity i bramy

Obrazy i rysunki **Jacka Strzeleckiego** są charakterystyczne, rozpoznawalne. Czysta, wyraźna kreska i ogromna dbałość o szczegóły. Artysta często maluje sceny mitologiczne, jego historyczni bohaterowie przypominają misternie rzeźbione greckie posągi, które chciałyby się dotknąć, pogłaskać. Obrazy sprawiają wrażenie trójwymiarowych, postacie wydają się żywe, gotowe w każdej chwili wyjść poza ramy malowidła czy rysunku. Gdy wchodzę do pracowni, witają mnie plamy żółci, błękitu, czerwieni i złota, intensywne spojrzenia lekko przymrużonych oczu, drapieżnie wyciągnięte w moją stronę ręce. Uciekam więc. Przebiegam przez pierwszą zasznurowaną bramę, potem następną i jeszcze jedną. Nie wiem, czy to brama do raju czy do piekła, czy może do wnętrza człowieka. Mijam pochylonego nad Izaakiem Abrahama, którego twarz zastygła w grymasie rozpaczy. Słyszę stukot kopyt goniącego mnie Centaura. Chowam się w kolejnej bramie, ciasno zawiązuję sznury, by nikt mnie tu nie znalazł. I za chwilę biegnę dalej. Ktoś zastawia mi drogę drabiną. Spokojnie, to tylko Jakub wybierający się na rozmowę z Bogiem, szukający wiecznego szczęścia. Skinęłam mu przyjaźnie głową i nagle wpadam na stojącą nieruchomo postać. Ach, to przecież żona Lota, skamieniała w przejrzysty słony posąg. Niepotrzebnie obejrzała się przez ramię, ciekawość często bywa ukarana! A przede mną kolejna zasznurowana brama. Waham się, nie wiem, czy iść dalej. Poprzez szczeliny w nagim torsie widzę fragmenty nagrobków i połamane kamienne inskrypcje. Zaglądam tam, przechodzę wolno przez Lapidarium kalecząc stopy o ostre odłamki. I znów brama, to już chyba ostatnia. Przechodzę i już wiem, że warto było przeżyć ten strach. Za ostatnią bramą czeka muskularny heros, piękny, namiętny, spragniony moich pocątków. Tu więc zostanę. Wtopię się w obraz jak grecka bogini, splecę palce z palcami herosa i nikt nie pozna, że to ja. Od dawna już prosiłam Jacka o portret, więc wszyscy będą myśleli, że wreszcie mnie namalował. I zostanę tu, szczęśliwa, już na zawsze.

## Józef Zdunek

\* \* \*

powinnością człowieka  
jest szerzenie miłości i dobra  
w każdym miejscu i sytuacji  
na Ziemi naszej

niech się mnoży i rozrasta  
świat ma być lepszy

to nie jest teoria ani przesada

ból i cierpienia  
rodzą się z nienawiści

Olga Lalić-Krowicka

## Dusza

*Fragment nieopublikowanej powieści „N pamięta”*

Sen o tym, jak zaczarowano brzuch mamy N podczas ciąży z nią, trwał, wydawało się, że jakby godzinami. Dalmacja przepełniona wrózkami i czarnymi siłami, szczególnie w kamienistych gajach, rodziła kolejne złe osoby. Podróżując poprzez zaświaty i rozmawiając z umarłymi kobietami dowiedziała się, kto ją tak naprawdę zaczarował. Wiedziała, że kandydatek było mnóstwo. I to się sprawdziło. Czarna ręka, która we śnie podążała za nią, wzbudzała przerażenie. Wtedy zawsze dziadkowie ją ratowali, wprowadzając ją przez okno pokoju rodziców i zamykając je. N długo nie mogła mówić, ani myśleć, podczas gdy inspiracja w niej trwała. Wybuchała dusza. Nie mogła niczego zanotować, oprócz wiersza, który i tak nie wystarczał, by wyrazić myśli i uczucia. Dla niej straconym dniem był ten, podczas którego nie napisała by około dwudziestu wierszy. Nie mogąc wyrazić myśli, siedziała przez wiele lat w pokoju, poszukując w słownikach wyrazu, który mógłby określić stan jej duszy. Potrafiła cały wiersz ułożyć ze słów odnalezionych w słowniku. Starła się, by ten układ był logiczny. Czasami faktycznie, niektóre wiersze były nielogiczne. Jednak na logicznych uczyła się myślenia. Trwało to przez wiele lat, dopóki nie przemówiła, zakochując się. Wydawało jej się wtedy, że umrze, nie tylko z powodu nieszczęśliwej miłości, lecz z ogromnego zapasu słów. Nie nadążała za sobą, gdy chciała coś powiedzieć. Miłość może być szczęśliwa, a może i nieszczęśliwa, jednak pomimo tego, każdy rodzaj uczuć w N poruszał N. Gdyby zabrakło uczuć, to byłaby jej śmierć. N nigdy niczego nie mogła napisać, jeśli nie miałaby wirtualnego czytelnika. Wirtualny czytelnik i słownik uratowały jej myślenie. Zaczynała myśleć. To wzbudzało w niej ogromną radość. Za każdym razem, gdy zażywała większą ilość psycholeptyków, myślenie cofało się, jednak po wielu doświadczeniach, dziś tak łatwo słowa z głowy jej nie uciekają. Być filologiem, a nie mówić, to dla niej ogromny cios. Dziś jednak pokonała te stany i jest dumna z siebie.

Pierwsze wspomnienia, jakie pamiętała, dotyczyły pierwszych kroków. Biegła wtedy pod starą czereśnię, aby objąć dziadka, a po napisaniu pierwszej litery alfabetu zaczęła także obserwować brzuch matki. Patrzyła jak z niego wychodzi biały anioł z głową podobną do niej - otoczony aureolą. Skąd to mogło się wziąć w jej wyobraźni, skoro to były lata komunizmu i nigdzie nie pokazywano motywów nawiązujących do aniołów. Cierpiała także na swoistego rodzaju autyzm. Sama sobie po latach postawiła diagnozę, choć do dnia dzisiejszego nie była tego pewna. Lekarz twierdził, że wszystko co jej dotyczy, jest chore. Wiedziała, że cierpi na schizofrenię paranoidalną. Skąd w niej tyle proroczych snów. Pewien mnich stwierdził wiele lat później, że jest to dar od szatana. N to bardzo zabolalo, gdyż chciała być najbliżej Boga.

W wiosce twierdzili, że jej babcia była wiedźmą. Często się zdarzało, gdy komuś popatrzyła w oczy swoimi dużymi błękitnymi oczami, to dana osoba potrafiła upaść na ziemię. Miała wzrok przedzierający się do duszy drugiej osoby. Znała się na ziołach, które często pomagały jej i dziadkowi. W stosunku do babci dziadek był aniołem. N była o tym przekonana. Duży poziom inteligencji i szczerść w N wzbudzały podziw, że ma takiego dziadka, jakiego miała. Marzeń nie mieli, bo marzeniem była ich wspólna samotność. Jego dojrzały, postarzały i zlekceważony indywidualizm wychodził wreszcie z siebie poprzez jej oczy. Jej dziecięcy i nieświadomy, poprzez jego oczy. We własnym towarzystwie mogli być wiecznie sobą. W milczeniu uzyskiwali odpowiedzi na każde pytanie. Byli równi sobie. Wiedziała, że to co czuje, ma uzasadnienie i ona jest bezpieczna. Tak samo jak to uczucie. Nie musieli mówić o Bogu z cerkwi. Był piękny, o tym dobrze wiedzieli. Ale też mógłby ich rozdzielić, tak jak ona była rozdzielona. Widzi, jak wisi na ulicy, bez niego i bez jej krzątania w karłowatej naturze. Jej poglądów nie miał kto bronić, w tym durnym i niepojętym świecie. Ten narzucany, tutaj czy tam, system obrony przed zagrażającym światem, który sam sobie zagraża, rozwinął to, co ją dziś trapi.

Kiedy po jego śmierci budziły ją sny niezwykłych tłumów oraz zjawisk, nie mogła się wybudzić ze snu o nim. W tym urojonym świecie i tak nie pozostawała bez niego. Mimo wszystko, łączył ich jej i jego czysta wieczność oraz dusze, których szukała w tym zaśnięciu. O materii nigdy nie mówili. Sama świeczka nie jest tak istotna. Istotny jest dym. To „pomiędzy” zawsze ich będzie łączyło. W ich zagubionych duszach.

Wkraczając w świat jasnowidztwa chce zachować spokój i zostawić chaos za niezwykłym horyzontem. Dziadku jesteś, choć już Cię nie słyszę - mówiła. Pewnego razu gdy N położyła się koło babci, miała fazę rem, że jej babcia jest wiedźmą. N nagle wstała z wersalki i pobiegła do swojego domu. Wszyscy byli zdziwieni, dlaczego tak pędzi i oddycha w szybkim tempie. N nie potrafiła tego opisać. Milczała. Gdy miała sześć lub siedem lat, przechodziła koło domu swojego wujka w nocy, zauważyła walczących partyzantów ze szwabami. Łało jak z cebra, a N zaczęła płakać. Po kilku latach faktycznie zaczęła się wojna. Mówili, że Serbowie znikną jako naród. N nie chciała w to uwierzyć. Działania wojenne trwały pięć lat, w psychice N nie zabrakło snów proroczych. Wiedziała, kiedy nastąpi kolejna strzelanina lub bombardowanie. W nocy przed ostrzałem śniły jej się czołgi. Wtedy zawsze płakała i trzęsła się ze strachu. Wkrótce rozpoczęły się długie walki. Wtedy siedziała w piwnicy razem z pozostałymi. Pewnego razu zaczęła się strzelanina ze wzgórze. Koło jej głowy leciały kule. Pomyślała, żeby ją choćby jedna trafiła, by móc na zawsze odejść z tego kotła. Miała wtedy dwanaście lat. Przez wiele lat miała mnóstwo faz rem, w których ciągłe detonacje rozwałały jej psychikę. Po każdej z faz nie mogła przez wiele dni czuć się normalnie. Brała środki przeciwbólowe, ale to nic nie pomagało. Wtedy wiedziała, że żadne leki nie uzdrowią wspomnień lub uczuć miłosnych. Prawdziwych. Z dna serca i duszy. Bolesnych tak bardzo, unoszących ją jednocześnie do radości otoczonej ostrymi bólami. Przez wiele lat choroby i leczenia czuła chłód i obojętność, mocną pustkę. Gdy pojawiła się miłość, cieszyła się jak małe dziecko, gdyż wiedziała, że znowu czuje i uczucia w niej nie



zgasły, pomimo garści leków, które musiała zażywać codziennie. Targały nią uczucia, a ona uśmiechała się mocno i cieszyła z inspiracji. Dziękowała Bogu za dar cierpienia i radości jednocześnie panujących w jej duszy. Trudności w oddychaniu czasem nie były miłe. Wpadała wtedy w trans modlitewny prosząc Boga o siłę. Same wspomnienia o T z dawnych czasów, kiedy ją porzucił, gdy zaczęła chorować, oraz sny o nim jak pędzą poprzez łąki, ona w białej sukience, a on w błękitnej koszuli, wzbudzały w niej dziwne uczucia. W tym samym czasie w fazach rem odwiedzał ją szatan w garniturze. Krzyczała co noc. Budziła się spocona. Ten rodzaj szatana pojawił się trzy razy. Pierwszy raz, gdy ją zamknął w szczelnym pomieszczeniu, kiedy w nocy urwał się jej z rzemyka drewniany krzyżyk, drugi raz był podobny do pewnej osoby, którą kochała, a trzeci dopiero nadejście. Wie, jak z nimi walczyć. Nauczyła się we śnie wymawiać modlitwę Jezusową. Samo wypowiedanie słowa Christos oddalało zło z jej snów i potem mogła dalej spać spokojnie. Czasami sama nie wiedziała, jak oddzielić chorobę od prawdziwych uczuć. Wszystko w niej się mieszało. Wielokrotne sny o przeróżnych wyglądach szatana zapowiadały męki na kolejnych dwadzieścia lat. Szatan o czarnych włosach stał przy jej łóżku, dając jej do zrozumienia, że szybko zła się nie pozbędzie. I tak się stało. Jej życie to walka we śnie ze silami zła. Kilka razy pod rząd śniła jej się jak siły zła próbują ją udusić. Walczyła długo. Prawie uduszona wypowiedziała słowo Christos i zło zniknęło. Jej sny o dawnych przodkach były przepełnione pomarańczowym kolorem. Ani to świt, ani zmierzch. Wiedziała, że została ofiarowana siłom zła, co niejeden sen potwierdził, i nie tylko. Gdy ona toczyła walkę duchową z szatanem, jej przodkowie wstawali z grobów. Skamieniali i poruszający się powoli, chcieli ją wystraszyć, że nie tędy prowadziła jej droga.



## Stefania Pruszyńska

### Opium

Po śladach dnia błędzi  
jeszcze echo i tańczy  
jak ćma odurzona  
słońcem w kryształach  
z uwięzioną różą

opium na nagłą  
porę milczenia  
wrastania w sny  
kosmykiem iluzji

## Sławomir Krzyśka

### Wiersze poetów

Wiersze poetów nie krzyczą  
nie płaczą  
nie śmieją się radośnie

Nie mówią  
nie zobaczysz ich  
we śnie

Wiersze poetów milczą  
oczami starej  
dobrej pamięci

## Jolanta Szwarc

### Cisza na dole

i spokój  
za to góra  
zmienia się szybko  
jedna chmura zachodzi  
na drugą  
co rusz inny wizerunek.

To od nich zależy  
co z nieba skapnie.

Stanisław Chutkowski

**Boskość w ogrodach Świata**

Wyniosłe masywy skalne, górskie opoki,  
ukochane oczy Pana Boga,  
rozproszone po Jego włościach.  
Urzekające urodą nieme ogrody,  
dotykają nieba niczym Katedry,  
misternie rzeźbione, zadziwiają człowieka.  
Omszałe wiekiem, chowają Tajemnicę,  
a nagość ich grań podnieca wyobraźnię.

Wielu śmiałków przygody życia,  
pragnie tam dojść, dotknąć grzbietu,  
zanurzyć się we mgle świętości  
i stanąć na krawędzi ciszy,  
pomiędzy niebem a ziemią.  
Przezwyćczyć ścisk gardła, kołatanie serca,  
pokonać samego siebie,  
aby poczuć boskość w ogrodach Świata.

Joanna Rzeszotek

\* \* \*

z-budowano dom:  
z budą. wanną.  
wy-kopano studnię:  
pan stu dni.  
po-sadzono drzewa:  
sad drze Ewa.  
akrobacje słów: znów nów,  
z podziałką cyferblat  
ze stromą więźbą czat  
(bracie wariacie – ty też na czacie?)  
- Tak! Tak!  
-Ano! Nano podano?  
I tak szalej! Lej! Baw się dalej!  
- a wsię – da?

*Jerzy! Jak widzisz, załączam Ci wiersz napisany od ręki ale z harczującymi słowami – tak lubię...*

Paweł Kuszczynski

**Billy Elliot**

Nie stać, nie chodzić, nie biec,  
tańczyć i tańczyć  
i muzykę mieć w sobie;  
prześcić czuć mięśnie i kości.  
Ulice walijskiego miasteczka  
nie dziwią się –  
wypełnia je taniec,  
wołanie Tancerz.  
Roztrzaskane pianino oddaje  
światło i ciepło w kominku.  
Tylko nauczycielka wie  
ile trzeba płacić za talent.  
Ojciec i starszy brat przekonują się,  
że inne może być życie,  
(matka w niebie czuwała  
od początku);  
na przedstawieniu baletowym  
czują się jak w swojej  
uratowanej kopalni,  
łzy w oczach ośmielają radość.  
Pofrunął jak ptak –  
nieprzynależny Ziemi –  
został Ikarem.

*7 lipca 2020,  
po ponownym obejrzeniu filmu*

Krystyna Wojciech-Ratajczak

**W oczekiwaniu na cud**

(Wielki Piątek, dnia 10 kwietnia 2020 r.)

Zaróżowiony świt  
pachnie strachem  
Siedzimy  
w naszych więzieniach bez krat  
W nich  
małe okienka nadziei  
Nasze różańce wytarte  
Bezszelestnie  
anioł śmierci  
ociera się nam o plecy  
O szybę  
uderzyła sikorka  
Wije gniazdo w pobliżu  
Wypatrujemy gołębicy  
z zieloną gałązką  
i oczekujemy cudu.

Janusz Urbaniak

**Brzask wrześnieowy**

przychodzą do mnie dźwięki  
poranka w miasteczku k.  
tchnienie wielorakości  
czysta karta u progu wędrówki  
chwila wytchnienia  
którą staram się usidlić  
niech trwa jak ptak chroniący  
ciepło

jeśli szukałem tego co miało  
być mową wyczekaną  
znalazłem dziś i usta moje  
nucić będą w tym intymnym  
brzasku

gdy podniosłem z chodnika liść  
który okazał się listem  
niewierny ja niewierzący  
wśród nurtów zabierających  
wszystkoistość

ta chwila tak przymilkła  
była mi dotknięciem skrzydła  
po którym pozostanie  
wyraz na dłoni zablźniony

Brygida Mielcarek

**Trwanie**

Życie chłosta po głowie  
Krzyk jest szeptem  
Modlitwa – oddechem

Miłość odwieczna  
trwała tylko w rajskim ogrodzie

Człowiek stworzony tylko  
na podobieństwo-zapełnienia pustki

Chociaż stworzyłeś dom dla  
duszy i ciała na swoje podobieństwo  
Nauczyłeś rozpoznawać dobro

Naucz jak nie upadać  
tak często i boleśnie

Danuta Ewa Dachtera

**Prośba**

Ciemny dąb  
nade mną  
- jeszcze nie

W zamian jest drzewo poezji  
przy którym stajemy  
głosząc o spokoju drzew  
szumiących liśćmi

A we mnie co?

Niepokój  
nigdy nieukojonny  
piękny  
wysokich drzew

Niedosyt

Poczekaj jeszcze  
dębie Lermontowa.

Tadej Karabowicz

**Skarbonka**

Na pustkowiu nic się nie dzieje  
oprócz wieczności  
modlący się w Ogrójcu jest kuszony  
przez Marię Magdalenę

kobiety całują ikony  
i zapalają świece  
na znak  
że w ich oknach jest jeszcze światło  
choć wokół płoną jesiennie liście  
jakby na przekór  
temu  
że nikt nie pomaga  
rozbierać się z sukni nakładanej przez głowę

nikt już nie zbiera do skarbonki  
bilonu  
wdowa nie daje drachmy  
temu który wczoraj ją odwiedził  
i został na noc

Danuta Ewa Dachtera

## **BO JAK ŚMIERĆ POTĘŻNA JEST MIŁOŚĆ –**

*o Gileadzie Margaret Atwood*

Wszystko można strywializować, nawet Miłość... Ale któż ośmielił się zakwestionować rangę pisania Margaret Atwood? Kto spróbuje sprowadzać jej twórczość do poziomu opowieści obyczajowej? Zwłaszcza, jeśli ta kanadyjska pisarka, poetka i krytyczka literacka, autorka ponad 50 powieści, zbiorów wierszy oraz esejów, której książki opublikowano w 35 krajach, zdobyła już uznanie - nominowana 1989 roku do Nagrody Bookera za *Kocie oko*, nagrodzona kanadyjską Giller Prize za *Grace i Grace* oraz włoską Premio Mondello; w 2000 roku nagrodzona za powieść *Ślepy zabójca* Nagrodą Bookera, a ponownie otrzymała ją w 2019 roku za *Testamenty*.

Szersze grono czytelników Margaret Atwood zdobyła dzięki *Opowieści podręcznej. Testamenty*, to kontynuacja tej powieści, napisanej po ponad 30 latach. Można potraktować te dwie książki jako odrębne przekazy, bo przecież obie są odrębnymi tekstami. Myślę jednak, że warto spojrzeć na nie jako na spójną, ważną w literaturze opowieść. Będzie to na pewno opisanie pewnej krainy – satrapii zwanej Gileadem. Opowieść o niej wstrząśnie czytelnikiem do głębi i nie pozostawi go bez refleksji na temat obecnej kondycji świata oraz warunków, jakie ułatwiają powstawanie reżimu niszczącego demokratyczne państwo; będzie ostrzeżeniem przed niebezpieczeństwem satrapii. Będzie ona także obroną praw kobiet, których status w Gileadzie był podrzędny wobec mężczyźni a także zwróci naszą uwagę na niesprawiedliwość mocno zhierarchizowanego społeczeństwa, nierepektowanie praw człowieka w społeczeństwie totalitarnym, przemoc, hipokryzję i niski poziom moralny elity, opłakany stan kondycji ludzkiej w takim systemie. Najbardziej wstrząsająca jest jednak obawa przed realnością niebezpieczeństwa satrapii. Ona jest nam, czytelnikom bardzo bliska. Margaret Atwood uporczywie odmawiała napisania drugiej części *Opowieści podręcznej*. Jednak zmieniła w tej sprawie opinię i napisała *Testamenty*. Dlaczego? Warto tutaj przytoczyć jej słowa: *Zawsze mówiłam „nie”, gdy proszono mnie o napisanie drugiej części. Ale jako że zaczęliśmy zbliżać się do Gileadu, zamiast się od niego oddalać, ponownie to przemyślałam.*

Co z tym wszystkim ma wspólnego miłość – ta potężna jak śmierć? Dlaczego genialna pisarka kończy swoje *Testamenty* następująco:  
*PTACTWO POWIETRZNE ZANIESIE GŁOS,  
A TO, CO SKRZYDLATE DONIESIE SŁOWA.  
BO JAK ŚMIERĆ POTĘŻNA JEST MIŁOŚĆ.*

Czy powyższe słowa to tylko dowód „wdzięcznej pamięci” bohaterki *Testamentów* wobec bliskiej i zasłużonej dla nich osoby? A może warto rozpatrzeć ten trójwiersz jako ważne uogólnienie, a nawet przesłanie dla świata, zwłaszcza w sytuacjach szczególnie trudnych dla niego? Przecież nie wszystkim słowo miłość kojarzy się z różą, której miejsce jest w oranżerii...

Historia najnowsza udziela nam przerażającej lekcji o okrutnej stronie natury Homo sapiens, potwierdza niewesołe konstatacje psychologii ewolucyjnej dotyczące bezwzględności ludzkich „samców alfa” (a aby być sprawiedliwą, to dzieje obyczajowości nie pozostawiają nam złudzeń, że do bezwzględnych zachowań były także zdolne kobiety żądne władzy) i doniesienia psychologii społecznej o konformizmie ludzi. To wszystko znajdujemy w zmodyfikowanej formie w opowieści o Gileadzie... Ale czy tylko taki jest, a może bywa człowiek? Stąd i akty altruizmu, nieobce także w świecie zwierząt, skierowane nie tylko do najbliższych („swoich genów”, partnera, drugiej rodziny – przyjaciół, czy własnego plemienia). Czy wyphywają one tylko z obawy przed negatywną oceną - byciem postrzeganym jako egoista, z lęku przed odrzuceniem przez grupę, a może raczej są naszą immanentną cechą niezbędną do przeżycia jako gatunku? Bo Miłość tak właśnie rozumiana, jako altruizm, może być ratunkiem przed śmiercią jednostek, narodów, a może całego świata. Może ona ratować nas przed tyranią psychopatów, naszym konformizmem, a nawet ocalić od śmierci nas jako gatunek. Obecny czas stawia Homo sapiens w sytuacji egzaminu z człowieczeństwa.

A tak na marginesie, taka interpretacja nie kłóci się ani trochę z wizją pięknej więzi między kobietą i mężczyzną, opiewaną w „Pieśni nad pieśniami”. Wszak to właśnie miłość jest w stanie unicestwić śmierć i szeol, dając nowe życie. Nie ma bowiem lepszej i gorszej pći; są tylko umiłowany i umiłowana.

Ta interpretacja nie pozostaje w sprzeczności z inną, dotyczącą „Pieśni nad pieśniami” – w ludzkiej miłości – silnej i czulej, jest także „boski grom” - nieskończona miłość Boga.

Margaret Atwood, *„Opowieść podręcznej”, Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2020.*

Margaret Atwood, *„Testamenty”, Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2020.*



Stanisław Szwarc

## Czy jutro odezwie się budzik?

Nie jest łatwo pisać poezję inspirowaną bieżącymi zjawiskami społecznymi i politycznymi. Można wpaść w pułapkę uproszczonego dzielenia – to jest cacy, to jest be. Można tak silnie zawęzić ogląd świata, że teksty zdezaktualizują się już po kilku latach. W końcu osobiste emocje i fałszywe poczucie powinności pisarskiej mogą wziąć górę nad żmudnym dochodzeniem do wysokiego poziomu artystycznego. Tak stało się z tekstami powstałymi w okresie stanu wojennego lub tak zwaną poezją smoleńską, gdy liczyło się, kto bardziej dokopie czerwonym, albo kto efektywniej rozedrze szaty nad tą niewątpliwie wielką tragedią. Tadeuszowi Zawadowskiemu udało się uniknąć tych niebezpiecznych pokus w najnowszym tomiku „dopóki budzik tyka”.

Dziwny tytuł i dziwna okładka, na której naręczny zegarek nie tylko odwrócony do góry nogami, ale jeszcze w lustrzanym odbiciu. Cofający się czas? Świat na opak? Przecież normalnie żyjemy. Budzik jeszcze tyka i jeszcze nie dzwoni, nie alarmuje. Jeszcze – to znaczy, że kiedyś...

Bohater tych wierszy żyje w nieustannym lęku, w świecie, w którym nasilają się niebezpieczne zjawiska znane przecież od dawna i, niestety, właściwe rodzajowi ludzkiemu. W wierszu „plaża. przygotowanie do wojny” dzieci kopią w piasku okopy, ustawiają w nich plastikowe misie /.../ rodzice w tym czasie budują zasieki / z parawanów.

Sąsiaduje z nim wiersz, w którym oddziały przygotowują się do manewrów /.../ dowódcy ukryci / za potężnymi zasiekami tną na mapach blizny przyszłych / uderzeń /.../ wyrośniętym chłopcom po nocach // śnią się dziecięce zabawy w wojnę. Żołnierzy jadących na misję żegnają dziewczyny o ciałach pełnych męskich dotyków i westchnień. / za kilka dni /.../ będą im się śnić po nocach ciała / kobiet /.../ rozkładające się w gorącym powietrzu.

Już dawno temu faraon zdecydował, że tylko on stanowi prawo, a jego / urzędnicy będą orzekać wyroki. sądy są niepotrzebne. /.../ ludzie cieszyli się /.../ zaczęli // rozbierać sądy i budować z nich piramidy. Ten faraon ma do dziś swoich naśladowców. To prawda, że władza jest jak narkotyk – uzależnia, a w miarę postępującego uzależnienia domaga się coraz większych dawek.

I jak tu można się dziwić nienawiści rasowej. Wiadomo powszechnie, że bicie żyda jest zwyczajem / praktykowanym od dawna. przecież / Chrystusa też bito ponad dwa tysiące lat temu a dziś jest równy / Bogu. trzeba nadstawić drugi policzek najlepiej żyda araba albo / roma. Niekoniecznie musi to być piątek i nie tylko w Jerozolimie dwa tysiące lat temu, żeby na ulicy pojawili się judasze. zaczęli / w tłumie naznaczać Chrystusów. później podchodzili / faryzeusze. nie rzucali w nich kamieniami / woleli rzucać ich na bruk. wzdłuż ulicy / stali legioniści z długimi gumowymi pałkami i tarczami.

Co raz ogłaszana jest „kolejna edycja” konkursu na donos. /.../ główną nagrodę odebrał już judasz godło iskariota /.../ termin nadsyłania prac odwieczny. jury co jakiś czas // zmienia swój skład.

PROTOKÓŁ  
kulturalny

Trudno się dziwić, że bohater tych wierszy się boi. Tym bardziej, że dopada go koszmar. Tuż po szóstej, ubrany / był w kamizelkę kuloodporną i czarną kominiarkę. Koszmar, a może upiór? Różne mogą być środki ratunku. Można przygotować na stole czosnek i osinowe kołki. Można chronić się pod parasol / z liter naiwnie wierząc, że mnie obroni, bo przecież za mną / na półkach murem moje wiersze czuwają.

Jeśli to mało, warto pamiętać, że w każdym z nas drzemią herbert i miłosz ukryci / pod stertami wygodnych przekłamań, /.../ dlatego / chodzę między ludźmi i czytam im // herberta i miłosza. Co jednak, jeśli powróci epoka palenia książek /.../ na wszelki wypadek / zdjąłem z półki szymborską i miłosza i ukryłem / pod łóżkiem. dzisiaj dołożyłem tokarczuk, jednak pan cogito powiedział / «że obojętnie przyjmuje wyrok przyszłych badaczy litery.»

Jest też taki lęk, przed którym nie ma obrony. Jest jak „stara kotka w oknie”, która wspina się na parapet /.../ drapie pazurkami / po szybie. wpuść mnie. kiedyś / bawiłam się z twoją młodością ale umarła /.../ razem będzie nam raźniej. łasi się do szyby // kotka o imieniu starość Można go jednak oswoić, ocieplić słowem. Na sąsiednich stronach książki rozmawiają z sobą dwa wiersze. W jednym „romeo” zakochany w julii od koniuszków palców u stóp po czubek siwiejącej głowy odjeżdża lśniącym karawanem, ma wyrzuty sumienia że pozostawia ją / bez opieki i pamięci którą utraciła przed laty. ktoś jednak musi // pierwszy przygotować niebo dla obojga. W drugim julia ma osiemdziesiąt siedem lat. /.../ nie ma prawników ani problemów z pamięcią /.../ przed oczyma / ma wciąż roześmianą twarz swojego romeo który powróci // lśniącym karawanem.

A budzik tyka. Tylko co się stanie, gdy ustanie tykotanie? Dzwonek alarmu, że to ostatni moment, żeby się przeciwstawić, czy może wybuch „budzika z opóźnionym zapłonem”? Taki był właśnie tytuł poprzedniego tomiku Tadeusza Zawadowskiego. Wszystko zależy od tego, jakie będzie jutro. A ono jest groźne i nieprzewidywalne. Niepostrzeżenie przyszło. stało obok. / trzymało się nogawek spodni. mogłem je wtedy odkopnąć /.../ dopiero / gdy stało się dzisiaj zrozumiałem że nie pozwoli / założyć sobie obroży /.../ teraz co rano / wyprowadza mnie na spacer /.../ zamykam oczy i czekam // na jutro.

W życiu człowieka najpierw jest szybkie zapominanie o wczoraj i radosne oczekiwanie na jutro, potem stopniowo wczoraj zyskuje na wartości, jest smakowane, roztrząsane, natomiast jutro jawi się w coraz ciemniejszych barwach, staje się źródłem lęków. W końcu zdajemy sobie sprawę z tego, że nie pomoże zrywanie kalendarzy / ze ścian i obgryzanie paznokci. jutro // już się zaczęło.

Pięćdziesiąt siedem mądrych wierszy. To co, że katastroficznych. Takie też są potrzebne. Przecież zawsze mamy możliwość wyboru. Dopóki budzik tyka możemy zaszyć się w kącie, powtarzając – „memento mori”, albo dołączyć do orkiestry, która jak na „Titanicu” – będzie grać do końca.

Tadeusz Zawadowski: „dopóki budzik tyka”, Fundacja Duży Format, Warszawa 2020.

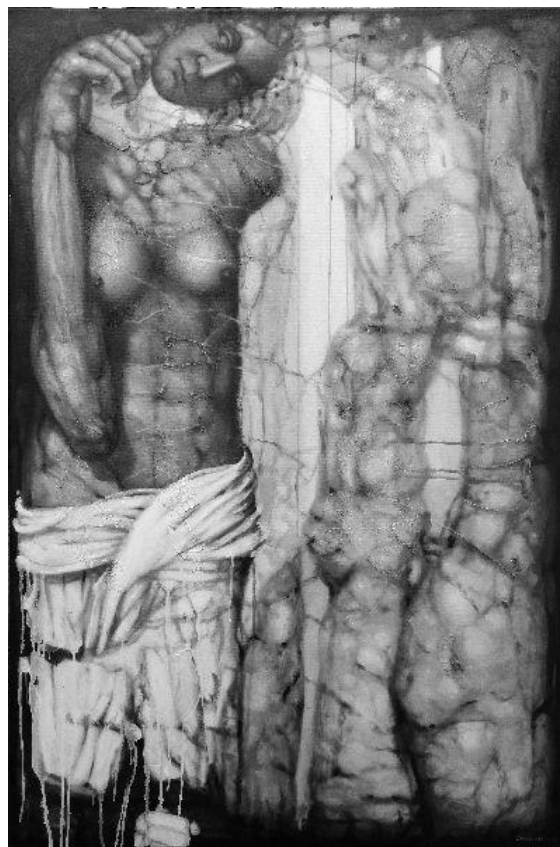
Alicja M. Kubiak

## **Żona Schrödingera**

Znacie kota Schrödingera? Oczywiście! To znany eksperyment myślowy. Z kwantowego punktu widzenia kot przed otwarciem pojemnika jest jednocześnie i żywy, i martwy. Dopiero w chwili otwarcia pudełka (w środku ma się znajdować trujący gaz), dochodzi do załamania funkcji falowej kota i w tym momencie zwierzę przyjmuje konkretny stan – żywy lub martwy. Nie zaryzykowałabym takiego eksperymentu nawet na starym, wyliniętym kocie. Na żadnym innym zwierzęciu też nie próbowałabym. Na człowieku? Raczej nie. Chyba nie. Może...? Właściwie – dlaczego nie? Na sobie. Rzykowne? To zależy od okoliczności.

Znałam ludzi, których powolny postęp choroby prowadził do kalectwa i niewyobrażalnego bólu. Kiedy boli głowa, stawy, brzuch – sprawa jest prosta. Tabletki, krople, ziołowe herbatki potrafią zaradzić wielu niedogodnościom. Radzimy sobie z tym lepiej lub gorzej. Czasami migrena, rwa kulszowa, czy zapalenie nerwu zwalają cierpiącego z nóg. Wypisane przez lekarza silniejsze leki na receptę pomogą. Może to trwać kilka dni lub tygodni, ale w końcu pozbywamy się bólu jak niechcianego pasożyta za pomocą oleju rycynowego. Któż jednak może, chociaż na pewno nie chce, opisać ból nie do wytrzymania, który od wewnątrz rozrywa, strzępi i swym ciężarem odbiera chęć do życia? Jest morfina i inne narkotyki, które pomagają przejść ten stan, aż do następnej dawki. Można i tak, ale kto by chciał szprycować się po to, aby kilka godzin wegetować w zapomnianym kącie życia, wyłączając ze świadomości ból nie do zniesienia przy zdrowych zmysłach, uzależnienie od narkotyków i obecność osób z najbliższego otoczenia? W tych chwilach osamotnienia w całym cierpieniu fizycznym wprawia ofiarę w niewyobrażalne męki psychiczne. Wtedy często rodzi się myśl o przerwaniu nici życia, zakończeniu wszelkich boleści i wegetacji. Jak syty nie zrozumie głodnego, tak zdrowy nie pojmie katuszy chorego. Trudno jest sobie wyobrazić ból, od którego ma się ochotę uciec w śmierć. Musi być niewyobrażalnie silny i trwać przez dłuższy czas. Każdy ma swoją wytrzymałość. Niektórzy umierają z bólu, bo to jedyna możliwa droga ucieczki i jednocześnie wyzwolenia od cierpienia. Zdrowy nie jest w stanie zrozumieć miłosierdzia śmierci, chyba dopiero w momencie rozdzierającego krzyku rozczarowania, złości i tęsknoty za niebytem, przywróconego do ponownego życia. Trapiiony łzami wyrwanego z ramion kostuchy, zaczyna się zastanawiać... Śmierć nie jest kościotrupią panią w habicie z kosą. Ta kobieta ma pulchne ramiona, szerokie łono i obfite piersi. Czule i delikatnie przytula umierającego, uśmiech przynosi ukojenie, a w błękitach jej oczu toną wszelkie troski i cierpienia.

Kiedyś wszyscy będziemy kotami Schrödingera.



Zygmunt Dekiert

### **Niebywałe**

W świecie poezji  
wszystko się może zdarzyć  
Lazur nieba  
w dzień szarością zasnuty  
podróż za horyzont  
na skrzydłach wiatru  
czerwień maków  
pośród bieli śniegu  
błękit liści  
na złotym kobiercu jesieni  
miłość dawno temu utracona  
w ramionach wiersza  
którego wczoraj  
– nie było



## Pani Zofia

*Ciąg dalszy z poprzedniego numeru.*

Wychodzeniu z biblioteki towarzyszyła erupcja nadziei o mocy trudnej do opisanego: za każdym razem, opuszczając bibliotekę, wierzyłem uparcie, że moje życie ulegnie zmianie na lepsze, ubogaci się literaturą i samo literaturą się stanie. Wielu książek po prostu nie oddawałem. Kradłem je. Tak pozostali u mnie na zawsze gentlemani słowa: Hemingway, Hłasko, Green, Jesienin, Mann i wielu, wielu innych.

Dowiedziawszy się o Sergiuszu Jesieninie z ust pani Zofii, smakowałem jedno ze zdań *Spowiedzi chuligana*, powtarzając je głośno: „Zapomniane na murawach zmierzchu kosy mokną. Zapomniane na murawach zmierzchu kosy mokną”. I była to medytacja nad natchnionym słowem piewicy, rozszerzona o medytację nad wonnym czarem stronicy. Wkraczając do jesieninowskiego ogrodu poezji, przez długi czas delektowałem się stanem piwowarskiego palika, a w rzeczywistości: bibliotecznego egzemplarza z 1967 roku, znalezione w miejskich księgozbiorach przy ulicy Łodowej. Rzecz wydawała woń słodsza od miodu i, od czasu Prousta, kojarzona z herbatnikami. Na pierwszych stronach, z krótką przedmową Ziemowita Fedeckiego, czyjaś dłoń wypisała ołówkiem tekst w języku rosyjskim. Książeczka żyła bardziej, niż dostrzegaliśmy to w marzeniach jej autor: ujęte w kółeczka numery stron; iksy i litery naniesione długopisem i porozrzucane w tekście nieprzypadkowo; klamry obejmujące strofy; wielki wykrzyknik; okrzyki, komentarze: „bardzo dobre!”, „dobre”; a między wierszami drobnego cyklu powstałego w Moskwie (w nocy z 4 na 5 października 1925 roku) — trudne do odczytania słowo. Przy *Liście do matki* znalazłem siedmiocentymetrową nitkę czerwonego koloru ułożoną w znak zapytania. Piwowarski tomik miał format kieszonkowca. Mogłem trzymać go palcami, chować na widok nadchodzącego nauczyciela i w czasie krótszym, niż mrugnięcie, wydobyć zeń wiersz. Otwierałem tomik szerokim gestem i uwalniałem strofy poety, niczym ptaki wyczekujące lotu w przestrzeni uwagi i podziwu. Nie potrafiłem rozstać się z książeczką barwy przejrzałej cytryny, na której spałem, jadłem i którą zakładałem na twarz, naciągałem sobie na głowę, jak gazową maskę, aby chronić mnie przed falą radioaktywnej, szkolnej i pozaszkolnej wiedzy. Zacząłem patrzeć na świat przez wiersze poety, jak przez okulary ochronnej maski i z tą maską na głowie włożyłem się nad Wartą jesienią i zimą, snując plany rewolucji, która miałaby przeobrazić, dla nowego, stare, smutne, to jedno bytowanie. Zachłystałem się *Spowiedzią chuligana*. Zaprażyłem być odtąd nie byle, jakim chuliganem, ale chuliganem poety, jak Sierioża. Zamarzyło mi się bycie Jesieninem. Przestałem się czesać, idąc za deklaracją poety, jak za wezwaniem do boju z przyzwyczaj-

jeniami mieszczan. Odnosiłem wrażenie, iż czarny mój włos Nr 75/76/2021 z wolna zmienia się w płowy. Paliłem fajkę. Nie myślałem się kilka dni z rządu. Jadłem byle, co, byle tylko chłonać Jesienina, odychać Jesieninem, żyć Jesieninem i Jesieninem — pisać. Tak, zaprażyłem ongiś pisać, a pisanie — to ciężka i nieuleczalna choroba. To umieranie nad śmiertelną białą papieru. Konanie trwające latami. Stan agonalny, w którym nie widzi się już nic w zwyczajny i ludzki sposób. Przypadkowa rozmowa brzmi w uszach powieściowym dialogiem — tajemnym zaczynem *magnum opus* zdolnym zbać padół wierzgających w mrok. Umysł w stanie literackiego rozkładu jest umysłem hieny pożerającym cudze: słowa, wspomnienia, sny i dramaty. Ciało pokonane przez skurcz tkwi godzinami w bezruchu i bezdechu — w katuszy oczekiwania na uzdrawiającą iluminację. Ta jednak zwleka zawsze. Zawsze jest gdzie indziej, tylko nie tam, skąd dobiega dźwięk skomlenia. Człowiek piszący jest to człowiek chory, który nie potrafi po prostu cieszyć się życiem innych i własnym w sposób bezinteresowny i czysty. Gdy nie tworzy — nie oddycha, dusi się w poczuciu straty i porażki. Ci, którzy odważyli się pisać, wiedzą, iż pisanie wyostrza świadomość, na ciele, której rosną dwa, niszczące człowieka, złośliwe guzy: bezradność i samotność. Nie ma ludzi bardziej porażonych bezradnością i samotnością. I jeszcze jedno: piszący musi oddać pisaniu serce. Pisanie jest sercozerce. Ostatecznie trzeba oddać mu wszystko.

Zachorowałem na jesieninopatię: nieprzespane noce, wino w parku, łyż i rozpacz w poszukiwaniu wiersza doskonałego, który powinien organicznie spłynąć z miejsca, z którego te rzeczy wyodstają się u poetów, a którego nie znajdowałem, a zaniechać szukania wiersza doskonałego i miejsca jego spoczynku nie potrafiłem. Upodabiałem się do Jesienina ufając, iż tajemne miejsce otworzy podwoje na widok kopii rosyjskiego poety. Czego ja nie robiłem, aby przekonać zagadkowe miejsce i świat o jedynej racji mego istnienia — o tym, że ja również jestem poetą. Czego nie czyniłem, by pozostawiono mnie w spokoju i nie oczekiwano, że będę żył jak wszyscy — by zwolniono mnie z życia, tego Czarnobyła nudy i rozpaczy. Usiadłem na łóżku mojego pokoju, otoczony wizerunkami Jesienina. Sięgnąłem po listek Piramidonu i przymknąłem powieki: przywołałem w pamięci scenę bergmanowskiego filmu *Twarz w twarz*: Liv Ullmann zażywa lek w odpowiedniej dawce i kładzie się na wznak w oczekiwaniu końca. Wydaje się spokojna i pogodzona. Sięgnąłem po drugi listek Piramidonu. Następny. Położyłem się na lewym boku. Czekałem. Na zewnątrz szalała burza. Ze mną nie działo się nic szczególnego. Tajemne miejsce milczało. Słowa pożegnalnego wiersza odleciały lotem spłoszonych nietoperzy. Nikt nie zapukał do drzwi. Samotność i bezradność poczęły dusić mnie, jak dwie ręce psychopaty. Krople deszczu, które poczułem na ustach, miały smak soli. Przewróciłem się na drugi bok i umarłem...

Placz mamy i moje torse wydały mnie na świat po raz drugi. Ogród pachniał nowym życiem. Szedłem między pierwszymi kwiatami roku, czując gorączkę ziemi i ciała. Słońce strząsało ptakami krople deszczu, splukiwało sól z mojej twarzy i wywołujące dreszcze obrazy pamięci. Stałem przed starą gruszą. Objąłem ulubione drzewo. Przytulony do szorstkiej kory oddychałem przez stopy do życiodajnych korzeni gruszy i odczułem, być może i w przybliżeniu, owo biblijne: „Jestem”. I od zapachu tamtej godziny, świata stworzonego dla mnie na nowo, nie potrafiłem powrócić do słodszej od miodu i od czasu Prousta niezmiennie kojarzonej z herbatnikami, dusznej i ciężkiej zarazem, przy zdumiewającej lekkości, rzeczywistości jesieninowskiej poezji.

Lubiłem bibliotekę przy ulicy Opolskiej. Na ulicy Osinowej zlikwidowano dział poświęcony wielkiej literaturze światowej. Wszystkim Musilom, Dostojewskim i Proustom podziękowano. A kiedy trafiłem do maleńkiej filii nr 29 na ulicy Ściegienego i zapytałem o *Pijaka* Fallady — w Poznaniu były trzy egzemplarze powieści — bibliotekarka odpowiedziała:

— Tego już nie ma.

Wiele lat później i w całkiem innych okolicznościach usłyszałem zdanie:

— Te książki są do wyrzucenia.

Stałem przed kolorowym i sięgającym kolan stosem. Ułożone były jak, odmienne kształtem i charakterem okładek, tomy tworzyły papierową rzeźbę. Pochyliłem się nad pozycją wieńczącą konstrukcję niepotrzebnych nikomu stronic i odczytałem: „Thomas Bernhard”. Tytuł: *Sutereña*. Na spodzie, na miejscu cokołu, tkwił *Kontrabasista* Patricka Süskinda. Zrobiło mi się żal. Zrobiło mi się żal długich lat, miesięcy, nieprzespanych nocy, przetapianych w alchemicznej gorączce kreacji w formy kunsztownych zdań, przez artystów słowa, którzy spodziewali się może łaskawszego losu dla ich dzieła. Zapytałem:

— O co chodzi z tymi książkami?

— Nie pasują do kolekcji.

Choć biblioteki upadają, ludzie nie przestają czytać. Choć czytanie upada, ludzie nie przestają chodzić do bibliotek. Chwała im za to.

### 3.

Kiedy w domu rodzinnym czegoś nie wiedziałem, a przeważnie nie wiedziałem czegoś w domu rodzinnym, moja ignorancja, nie wiedzieć czemu, nie była niewiedzą czegoś, nieznaną fragmentu wiedzy. Moja ignorancja była niewiedzą wszystkiego. W jarzeniowym świetle uwagi ojca uosabiałem ignorancję. Byłem ignorancją. Totalną i ze wszech miar niedopuszczalną, w domu rodzinnym. Taką, która nie potrafi: określić znaczenia dzisiejszej daty w gmatwaninie dziejów; odnaleźć imienia wielkiego poety, któremu dziś przyszło narodzić się albo umrzeć przed stu laty; podać nazwy górskiego szczytu zdobytego z ojcem w niedalekiej przeszłości, nie mówiąc o dacie urodzin ojca, o której się nie mówi, tylko się wie. Albo... nie. Ja — nie wiedziałem. Mój ojciec należał do tych, którzy wiedzą wszystko. A jeśli czegoś nie wiedział, to i o tym wiedział przede mną. Nachylny nad beletrystyką, encyklopediami, wycinkami z gazet, stosami papierów, map i starymi kalendarzami, studiował je, porównywał, gromadził informacje i notował: zapisywał dzień po dniu, dzień za dniem, dzień w dzień: kolejność zdarzeń, tempera-

tury, zawartość posiłków, ilość wydanych złotych, cudze sentencje i własne refleksje oraz litanie odwiecznych miejsc wraz z odpowiadającymi im godzinami z dokładnością, co do minuty. Rok za rokiem w kalendarzykach pismem tak drobnym, że nie dało się czytać. Ja przez te lata, i bez chwili przerwy, nie wiedziałem, zasługując na potępienie i miana: Torby, Dupy Wołowej, Tuka oraz Ignoranta. Torba, Dupa Wołowa, Tuk i Ignorant — to synonimy w jarzeniowym świetle uwagi ojca. Synonimy — syna imiona. Synaimiona, jak je nazwałem.

— Czy wiesz, którego wrzeźnia wybuchła druga wojna światowa? Czy masz świadomość, który z polskich poetów walczył, jako warszawski powstaniec? Czy zdajesz sobie sprawę, nieuku jeden, ile metrów mają Rysy, na których byliśmy razem? Tata to zapisał, zobacz... W którym to było roku? Tata to wie...! Bo dla mnie niepojęte jest to, że można nie znać daty urodzin własnego taty. Własnego taty...! Czy Ignorancie jeden, Dupo Wołowa, ty Torbo, Tuku, bo nie wytrzymam... wiesz już teraz, wiesz, kiedy twój tata ma urodziny?!

Nie. Nie wiedziałem. I nie wiem do dzisiaj. Nie wiem — to ja. Na trajektorii mojej egzystencji „nie wiem” stanowi *constans*. Jestem, więc nie wiem.



Prawdziwe imię zabrano mi, zastępując synaimionami, słowami, które spadały na twarz, niczym odłamki gruzu. Synaimiona — to za ich sprawą, pozbawiony imienia, przestawałem być sobą, stając się kimś innym, obcym, według tego, czy innego, nowego synaimionu. Ich lista w ustach ojca nie malała. W chwilach gniewu wynajdywał nowy, synaimion dotkliwszy od poprzedniego, trwając w zaborczym *continuum*. Czuję, że zostaje mnie coraz mniej. Szybka i precyzyjna gilotyna ust ojca odcinała to, co dygotało jeszcze za prawdziwym imieniem, w końcu skradzionym. Zabrać prawdziwe imię — to okaleczyć tego, do kogo należało, z kim było zrosnięte, bo niewątpliwie czekało na jego

narodzenie, rosło, kształtowało i dało się formować, by pozostać z nim na zawsze, jako inskrypcja na nagrobku: znak istnienia jedynej w swoim rodzaju rzeczywistości osoby wybrzmiewający we wspomnieniach żyjących. Człowiek ma odwieczne prawo do imienia. Prawo boskie. W skrajnym przypadku, odebranie imienia skutkuje śmiercią. Ojciec przekształcał moje imię, aby ostatecznie zagarnąć. Tak, więc bez imienia nie mogłem być sobą, a z czasem — przestałem chcieć być sobą. Stąd zapewne brało się to moje pragnienie bycia Sergiuszem Jesieninem, Gustavem Mahlerem i tyłoma innymi. Byłoby tylko nie być kimś innym, obcym, według tego, czy innego, nowego synaimionu. Wieść życie pożyczone, ale w ojcowskiej akceptacji, cudze, ale warte powtarzania rok w rok. Święcie w to wierzyłem.

W tym antyhagiograficznym obrachunku dodać muszę, iż bez wątpienia byłem bity, jak bywają bite dzieci. Łamały się niewinne ramiączka. I tyle. Kochane dziecko znieśie fizyczną udrukę i przebaczy, niepomne tego, że miniony dzień zdawał się końcem jego wątpiego istnienia. Synaimiona dokonywały gestapowskiego spustoszenia. Czekalem, aż pewnego dnia, jedyny raz i tak przez pomyłkę, ojciec powie do mnie:— Chłopcze.

Człowiek ten odzierał z imienia, godności osoby i dziecka. Nadszedł dzień, w którym zapragnąłem, aby nie wrócił do domu. W napięciu ciała rozpamiętywałem śmierć ojca, jako wyzwolenie, ratunek przed własną i rychłą śmiercią. Nic jednak nie przebiegało według gorączkowego rytmu pragnień. W najśmielszych wyobrazeniach, to nie ja podnosiłem rękę na ojca i sprawiałem, że ginie. Działo się to z mocy potężniejszej ode mnie, przywracającej upragnioną sprawiedliwość i ład. Mijały dni — ojciec wracał. Wraz z ojcem wracały synaimiona: gwoździe wbijane w jedno, potem w drugie ucho. Rana powstawała wewnątrz. Strużki krwi nie były widoczne. Ten rodzaj przemocy zdaje się nie pozostawiać śladów. Szczekanie psa w oddali znaczyło, że ktoś znów wrócił do domu. Szczekanie jedno, potem drugie. Echo — nosiciel złej nowiny. I zgrzyt rozpaczy w zamku drzwi. Wyglądałem samochodowej kolizji, upadku spowodowanego, typowym dla czasu, nadużyciem alkoholu. Czekalem na śmierć ojca. Ale czekałem beczynnie. Nie znałem czarów. I nikt nie nauczył mnie modlitwy. Urodziłem się w świecie bez Bożego Narodzenia, gdzie istniejące święta pozbawiono wymiaru religijnego, duchowego, a więc naczelnego ich sensu. „Folklorek i cepelia”, jak powiedziano po latach. Pozostawiono rytm i obecność symboli: choinka w domu, prezenty pod choinką, kolędy w telewizorze i ojciec siedzący we fotelu i bijący brawo — telewizorowi. Ale ruiny świąt bez ducha trudno ogrzać zeświecczonymi sercami. Rok po roku, na chronologicznej mapie mojego życia, pojawiały się rumowiska zdolne przestraszyć wierzących chrześcijan. Topografia świata bez prawdziwego Bożego Narodzenia nie napawa optymizmem. Trudno dziwić się pragnieniu śmierci ojca.

Nadszedł dzień cudu. Ojciec, tak jak stał, osunął się na kanapę z krzykiem, aby spaść na dywan i wić się w konwulsjach. Pierś syna rosła i jaśniała wschodem szczęścia. Bałem się patrzeć na ojca, ale jednocześnie chłonałem dźwięki cierpienia, jak wysuszona i spękana ziemia — deszcz. Nastął świt żądanego bólu. „Nie ja, ale to on płacze!” — krzychało synowskie serce. Ojciec wył. Odliczałem ostatnie jego oddechy. Mniej więcej po godzinie zgasł widok na ocalenie.

Mama, po wyjściu lekarza, powiedziała:

— Tata miał atak kamienia... nerwowego.

„Nerwowego... — powtarzałem — nerwowego... nerwowego...”

4.

Okno pokoju wychodziło na pokrytą brukiem ulicę Emilii Szanieckiej opadającą nieczynnymi tramwajowymi torami. *Vis-à-vis* wznosiła się roślina próbująca wierzchem korony dosięgnąć szczytu sąsiadującej z nią kamienicy. Fenomen natury przywodzący na myśl olbrzyma ustawionego tam po to, by strzegł starej budowli przed zawaleniem. Ubrane sierpniowym listowiem, potężne i powykręcane, gałęzie miały napięte mięśnie.

— Jak nazwiemy to drzewo?

— Nie wiem.

— Wiesz. Po prostu wyleciało ci z głowy. Spróbuj, a zdradzę ci tajemnicę.

— Jaką?

— To ja zapytałam pierwsza.

— Tak. Czy to jest...? To jest...?

— Chyba jesteśmy blisko.

— Pani Zofio, czy to jest... akacja?

— To jest Robinia pseudoacacia i niepotocznie: grochodrzew. Pochodzi z Ameryki Północnej i błędnie nazywana jest przez nas akacją parkową. Pachnie tak intensywnie w czerwcu, że spędzam tutaj wieczory. A czy wiesz przypadkiem, jak mówi się u nas na prawdziwą akację, bodajże, srebrzysta?

— Pani Zofio, nie można wszystkiego wiedzieć.

— Mówi się: mimoza. Mimoza, dokładnie tak, jak ja wołam na ciebie.

— Wspomniała pani o tajemnicy.

— Oto i ona, chłopcze. Mi-mo-za. Miii-mooo-zaaa... Miii-mooo-zaaa...

5.

Widziałem czarnego kota śród sterty poduszek. Wielką spoconą sowę. Damę w filcowych bamboszach. Bliźniaczkę profesor Marii Janion. Lecz ani razu — kobietę, lejtmotyw chłopięcych snów na jawie. Patrząc na panią Zofię, nie widziałem kobiety. Jej bujnych piersi i pośladków nie widziałem, jako kobiecych piersi i pośladków. Użyję kontrastu: nie miała nic wspólnego z hiper-męską Tamarą Press i nie przywodziła na myśl arcykobiecej Mizzi Caspar. Ale również tego, co mogło znaleźć się po środku. Trudny przypadek. Pani Zofia wymykała się mojej samczej klasyfikacji, a nadpobudliwość seksualna gasła przy niej w sposób zagadkowy. Ona lewitowała ponad sferą płci. Odgrywając przed nią sonatę Mozarta, nie musiałem męczyć się rolą zaklinacza kobiet. Będąc zwolnionym ze ślepego przymusu zdobycia tego jednego ciała, miałem poczucie ogromnej ulgi. Kamienny chłód schodowej klatki, wiodącej na drugie piętro kamienicy, łagodził temperaturę moich zmysłów rosnącą erupcją letnich upałów i tym wszystkim, co skwar potrafi zrobić z ulic. Idąc chodnikiem, w gorący dzień, rozpadałem się na członki, czynniki pierwsze, cząstki najprostsze, pierwotne potrzeby, z których dałoby się złożyć egzemplarz zaledwie pitekantropa. Potem taka bestia, *homo erekcjus*, włąziła schodami na drugie piętro, wduszała pazurem przycisk dzwonek, aby zmienić się nie do poznania w *homo sapiens*, o ile nie w *homo eruditus*.

*Dokończenie w następnym numerze.*

## Z dna pamięci

Maria Burtowy jest autorką trzech tomików wydanych w latach 2015-2020. (w cytatach zaznaczam rok wydania). Choć zwykle nie ma to znaczenia – w kontekście analizowanego dorobku z jego atmosferą, trzeba zaznaczyć, iż autorka jest profesorem pedagogiki. Podmiot liryczny konsekwentnie rozlicza się ze swą biografią uczuciową, zawężając jej obszary w formę zacieśniających się kręgów aż do daleko posuniętej redukcji.

Ten rodzaj narracji powoduje wrażenie ciemnienia obrazów z przeszłości i taki sam odbiór wrażeń dziejących się tu i teraz, choć terażniejszość jest w wysokim stopniu ograniczona do wątków epizodycznych, marginalizowanych. Względnie sprowadzanych do spostrzeżeń/rozważań snutych poza czasem, jak w „muśnięciu” wczesnoherbertowego motywu: *Przedmioty / nie mówią /.../ chociaż mają dużo do /przekazania /.../ jak/przekaz ludzi / mówiących / nieznanym językiem* (tytuł: ?; 2016).

Zgodnie z moim doświadczeniem zarówno życiowym, jak i literackim jest to bardzo częsty typ ekspresji u osób, które jakiś czas temu przekroczyły ową conradowską smugę cienia. Trudno się spodziewać nadzwyczajnych emocji o skali porównywalnej z tymi z wieku pełnej dojrzałej energii sprawczej, kiedy to kształtują się wydarzenia o bardzo doniosłym znaczeniu, często decydujących o naszych losach, nieomal nieuchwytnie przechodzące w przeszłość, oblekając się w mniej lub bardziej szczelny kokon wspomnień.

W tym momencie wyłaniają się dwa podstawowe motywy wierszy poetki: czas spleciony nierozdzielnie z subiektywnym rejestrem jego upływu: wspomnieniem.

Aby przybliżyć takie odczytanie tej twórczości konieczne jest zestawienie i porównanie dwóch utworów z tomu z r. 2016, otwierających (Wspomnienie pierwsze...) i zamykających (Wspomnienie drugie...) zestaw wierszy. Ostatnie strofy brzmią: *Nawet doświadczenie / nie oszlifowało obrazu / tamtych dni/pozostał / we wspomnieniach* oraz – jako kontrapunkt - w wierszu drugim: *Wspomnienie / oszlifowane / przez doświadczenie / dało inny obraz / tamtych dni*. Wspomnienie jest kształtowane przez osobiste doświadczenie rozgrywające się w zawsze subiektywnie odczuwanym czasie. Aż do konkluzji oddającej tonację tych wszystkich nieomal wierszy: *rozejdą się moje wspomnienia / nikomu niepotrzebne* (Było, nie było, 2015). Ta pesymistyczna wizja w żaden sposób się nie spełniła. W wierszach autorki wspomnienia stanowią żywą, przez lata aktywną siłę napędową jej najintymniejszych przeżyć.

Czas zamraża treść wspomnień (*Zima / Wiosna / Lato / a ty wciąż w jesieni*, Twoja jesień, 2020). Stan zamrożenia jest porażką próby zapomnienia (próba zapomnienia, 2020) choć że *przećież litościwa [jest] pamięć*; (wiersz: (nie) opuszczona, 2020), skoro przechowuje to co było kruche i trudne do jednoznacznej oceny, ponieważ czas to *przepychanka / przeszłości z przyszłością* (narracja, 2020). W tym samym czasie, co nasze, dzieje się cudze życie, a ono jest *jak kamień / toczący się / po nierównościach losu / ze swoją tajemnicą / czasem coś odkruszając* (jak kamień, 2020). Te „okrucy” to także interwencje, mniej lub bardziej

przypadkowe, w los bohaterki tej smutnej opowieści, kiedy spotyka kogoś, kto Tworzył *wizję siebie / nie dla siebie / dla innych* (Dopasowywanie się, 2020). Rozczarowanie w kontaktach z innymi może być bardzo urazogenne, do tego stopnia, że lepiej wybrać *samotność / wśród zwierząt, roślin i ludzi / - bała się pożegnań* (Obrączkowanie, 2020). Pozostaje wspomnienie psychicznego dyskomfortu, zalegającego na dnie wspomnień, kiedy ryzyko zostało podjęte: *I znów wybaczyłaś. / I znów zapłaciłaś /.../ Wybaczasz i płacisz / Czy o tym można zapomnieć?* (Wybaczenie, 2015). Przeżywanie czasu i dziejących się w nim zdarzeń jest zawsze sprawą indywidualną, osobistą, choć łączy nas wszystkich ten sam nastrój takiego doznania z zachowaniem różnic: *Chwila mierzona / czasem / wspomnieniem / rozstaniem / życiem. Trwa dla każdego inaczej* (Chwila; 2015). Autorka wierszy nie widzi konieczności poważnych rozmów na ten temat z innymi, wątpiąc w ich poważny ton, czemu daje wyraz w wierszu *Rozmowy przy kawie* (2020): *Przestała rozmawiać / zbyt trudne tematy / zabrakło czasu / plotki bardziej interesują / Zamilkła / ze swoimi tematami / wyszła do domu*. W samotności przeżywania swoich ciągle wracających wspomnień.

Kiedy autorka uparcie draży mechanizm rodzenia się, trwania i zacierania wspomnień, często posługuje się sformułowaniami brzmiącymi jak aforyzmy: *Nie bądź pewna / że pamięć jest pewna / bo często w niepamięć popada /.../; Pomyśl / jak dobra jest niepamięć / ratuje przed cierpieniem* (Niepamięć, 2015).

Interesującym zabiegiem, często przez nią stosowanym, jest powtarzanie mniej lub bardziej przetwarzanych wersów w tym samym utworze, swego rodzaju „refrenizacja”. Najbardziej kreatywnym przykładem tego zabiegu są cytowane dwa wiersze, wyżej już omawiane, z tomu z r. 2016 (Wspomnienie pierwsze ... i Wspomnienie drugie ...), a także w Twojej jesieni z rytmicznymi powtórzeniami: *Jesień jeszcze się nie doczłogała /.../ Ciemność jeszcze się / nie zciemniała /.../ Wiatr jeszcze się nie rozhułał /.../ Liście jeszcze się nie pokolorowały... z zaskakującymi pointami*.

Upływ czasu i destylowany w jego retortach zestaw wspomnień mają w tych wierszach bardzo charakterystyczną cechę. Czas biegnie swoją naturalną koleją rzeczy. Kiedy jednak w jego trybach pojawiają się wspomnienia, tracą wyrazistość zdarzenia, jego zmysłowy smak. Są schowane w abstrakcyjności pojęcia, ulegają wypreparowaniu z konkretem. Domyślamy się, po skąpych śladach, że to relacje pomiędzy *Nim a Nią*; trop; odwieczny jak sama poezja.

Czy różne etapy redukcji dokonywane na własnej biografii są tylko zapisem z wykorzystaniem poetyckiej formy ?

To zasadnicze pytanie. Uważam, że jest to swoista, autoterapia porządkująca zakamarki psyche przeciążonej zderzeniami z rzeczywistością, wręcz niebezpiecznych bez skutecznej neutralizacji.

Trudna, dość skromna w środkach wyrazu, lecz mocno angażująca przez swą ludzką prawdę – jest ta poezja.

---

*Maria Burtowy: „Wiersze”. Wydawnictwo Aureus, Kraków, 2020; Maria Burtowy: „... z minionych dni”, ibidem, 2016; Maria Burtowy: „... z tamtych i kolejnych dni”, ibidem, 2015.*

Kalina Izabela Ziola

## Galeria sztuki pełna

Galeria Sztuki w Mosinie, mieszcząca się przy ulicy Niezlomnych 1, jest jedną z najbardziej znanych i wysoko ocenianych jednostek kultury w Wielkopolsce. Działa już ponad 27 lat. Organizowane są tu wystawy malarskie, rzeźbiarskie i teatralne artystów z całego kraju, między innymi pokazywali tam swoje prace Piotr Tetlak, Izabella Rybacka, Bogdan Wegner, Andrzej Kurzawski, Grzegorz Gwiazda, Andrzej Jeziorkowski, Jan Berdyszak, Stanisław Radwański, Norbert Skupniewicz, Andrzej Maciej Łubowski, Andrzej Zalecki, Jacek Gulczyński, Stanisław Radwański i wielu, wielu innych. Dzięki działalności Galerii coraz większe grono artystów zamieszkuje Mosinę, coraz większe grono pedagogów i profesorów nawiązuje współpracę z Galerią Miejską. Jest to ogromną zasługą dyrektora Galerii, Doroty Strzeleckiej, która tworzy swoisty niepowtarzalny klimat. Jest artystką i rozumie artystów, potrafi sprawić, że każdy doskonale się tu czuje. Zresztą to właśnie ona, razem ze swoim mężem Jackiem Strzeleckim, bardzo uzdolnionym studentem malarstwa na poznańskiej WSSP, a dziś profesorem Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu, zainicjowała założenie Galerii EM. W 1993 burmistrz Mosiny Jan Kałuziński na wniosek prof. Bogdana Wegnera, ówczesnego projektora WSSP i Jacka Strzeleckiego, otworzył Galerię Miejską w Mosinie. Na stanowisko kierownika artystycznego tej Galerii powołana została Dorota Strzelecka, która przez cały czas intensywnie pracowała na rzecz kultury.

W 2014 roku z inicjatywy pani Doroty zaczął działać w Galerii Miejskiej w Mosinie Salon Poetycko-Muzyczny. Mam przyjemność od samego początku prowadzić w nim spotkania. Zapraszani są do Galerii zarówno poeci, jak i bardowie, aktorzy oraz muzycy z całego kraju, a nawet z zagranicy. Bardzo ciekawym gościem był na przykład włoski poeta Igor Costanzo, który przyjechał w 2019 roku znanym jeziorem Garda do mosińskiej Galerii, prawdziwego teatru sztuki, gdzie przenikają się malarstwo, rzeźba, poezja, muzyka. Dorota Strzelecka tworzy cudowne scenografie każdego spotkania, za każdym razem inne, zaskakujące i zachwycające. Jest osobą bardzo ciepłą, serdeczną, nic więc dziwnego, że taki właśnie klimat panuje w Galerii. Pomimo wielu obowiązków znajduje czas na zajęcia z dziećmi i młodzieżą, na wprowadzanie do magicznego świata sztuki. Organizuje spotkania, warsztaty, zabawy i wycieczki plenerowe.

Decyzją Rady Miejskiej 1 czerwca 2018 r. Galeria Miejska w Mosinie została przekształcona w samodzielną jednostkę - Galerię Sztuki w Mosinie, a na jej dyrektora powołano Dorotę Strzelecką. Nie było to dla nikogo zaskoczeniem, gdyż nie można przecenić pracy, jaką pani Dorota wkłada w krzewienie i rozwój kultury w swoim środowisku. Wielokrotnie nagradzano ją za działalność na rzecz kultury. W 2002 roku otrzymała Statuetkę Siedemsetlecia Królewskiego Miasta Mosina, w 2013 roku Medal Burmistrza Gminy Mosina za działalność w Galerii Miejskiej w Mosinie, w 2015 została laureatką Nagrody Pracy Organicznej im. Marii Konopnickiej za zasługi w pracy kulturotwórczej, w 2016 roku wyróżniona została Medalem Rzeczypospolitej

Mosińskiej, a w 2020 uhonorowano ją odznaką „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

**PROTOKÓŁ**  
kulturalny  
Nr 75/76/2021

Nawet w tych trudnych dla kultury „czasach zarazy” Galeria Sztuki w Mosinie nie zrezygnowała ze swojej działalności, prowadzi obecnie wystawy i warsztaty on-line. Ogromnym wydarzeniem był zorganizowany 23 października 2020 wernisaż wystawy dwóch wybitnych twórców mieszkających w Mosinie, malarza Jacka Strzeleckiego oraz rzeźbiarza Wiesława Koronowskiego. Pomimo panującej pandemii i związanych z nią obostrzeń zjechali na wernisaż profesorowie i studenci Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Choć zgodnie z obowiązującymi zasadami bezpieczeństwa trzeba było czekać na zewnątrz, by wejść do środka w małych, kilkusobowych grupach, goście pomimo deszczu nie zrezygnowali z możliwości obejrzenia ciekawej ekspozycji i rozmowy z autorami dzieł.

Należy żywić nadzieję, że nie była to ostatnia wystawa zorganizowana „na żywo” i że niedługo Galeria Sztuki będzie mogła otworzyć swe podwoje przed miłośnikami malarstwa, rzeźby muzyki i poezji.



Jan Wojciech Malik

### Zostanie

Ulotne chwile  
Ulotne myśli  
Odkryć błyskawicą  
Błyskawica przewidzeń  
Mijają obrazki  
Pragnienia przeminą  
Zostanie obraz  
na fotografii szarej

Adam Lewandowski

**Nike 2020**

Emocje rosły z dnia na dzień. Ostatnie tygodnie poświęciłem na poznanie wszystkich kandydatów i ich dzieł. Zakupiłem książki nominowanych. Dlaczego wybór zwycięzcy jest tak ważny? Bo to współczesna, niezależna literatura. Nie wpisuje się w trendy historyczne, czy polityczne, a warunkiem nominacji jest oryginalność i nieszablona fabuła. W finale Nike 2020 znalazły się dwie powieści, dwa eseje, dwie książki reporterskie i biografia. Finaliści nagrody to: Joanna Gierak-Onoszko - „27 śmierci Toby'ego Obeda, Rozdeptałem czarnego kota przez przypadek”, Radek Rak - „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli”, Paweł Piotr Reszka - „Płuczki”, Monika Sznajderman - „Pusty las”, Filip Zawada, Piotr M. Majewski - „Kiedy wybuchnie wojna? 1938. Studium kryzysu”, Agnieszka Dauksza - „Jaremianka”: Mamy tematykę historyczną, powojenną i starszą wiekiem, piękne eseje, no i wreszcie biograficzną.

Wybór zwycięzcy w rękach szanowanego jury, któremu szefuje Paweł Próchniak. Zwycięzca otrzyma 100 tys. zł i statuetkę projektu Gustawa Zemły. Ważny jest również wybór książki i przyznanie nagrody Nike Czytelników - zawsze chęć wiedzieć co czytają ludzie. Jeszcze nie przeczytałem powieści, która zdominowała tegoroczną galę Nike 2020! Brak czasu, a i dostęp w księgarniach ograniczony. W tym roku w jury zasiadli: przewodniczący Paweł Próchniak, Teresa Bogucka, Agata Dowgird, Maryla Hopfinger, Dariusz Kosiński, Iwona Kurz, Anna Nasiłowska, Magdalena Piekara, oraz Szymon Rudnicki.

I wreszcie werdykt - Nike 2020 otrzymuje Radek Rak za „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli”.

Ta książka to klechda - TO PRZESTRZEŃ wyobraźni, która dotyka twardej rzeczywistości. *Snuje historię nie z tej ziemi i jednocześnie opowiada o czymś, co drzemie w realnej historii, w naszej wspólnej podświadomości, w podglebiu języka, którym mówimy* - mówił podczas gali o książce Raka Paweł Próchniak, Radek Rak świetnie panuje nad słowem, nad różnymi tonacjami polszczyzny, nad jej możliwościami, nad tym, co żyje pośród słów, w przy dźwiękach i echach - prawie niesłyszalne. „Baśń o węzowym sercu” jest świadomie staroświecka i zarazem nowoczesnie groteskowa - dodał. Pochodzący z Dębicy laureat jest z zawodu weterynarzem. - *Jestem zaszczycony - powiedział, odbierając nagrodę i dziękując osobom, które przyczyniły się do powstania książki.*

Konkursowe jury doceniło w tym roku książkę-powieść. To historia o Jakóbie Szeli, przywódcy powstania chłopów przeciwko szlachcie. Radek Rak próbuje na nowo stworzyć mitologię Galicji. Czytelnicy wędrują przez krainę baśni, zawieszeni między historią a mitem. Dobro i zło, nierówne szanse, Galicja i Polska. „Baśń o węzowym sercu albo wtóre słowo o Jakóbie Szeli” jest powieścią pełną erotyzmu, ironii i humoru, spowitą jednak mrokiem wprost z ludzkich serc.

**Profesor dr hab. Wiesław Koronowski** urodził się w 1965r. w Rypinie. W 1990r. ukończył PWSSP w Poznaniu, Wydział Rzeźby w pracowni prof. Józefa Kopczyńskiego. Od 1990r. asystent prof. Józefa Petruka w ASP w Poznaniu. Od 2004r. kierownik V Pracowni Rzeźby ASP, a obecnie III Pracowni Rzeźby i Otoczenia na Wydziale Rzeźby UA w Poznaniu. W 2014 roku odebrał nominację profesorską. Laureat kilku konkursów ogólnopolskich. W 2007 powołał do życia Brygadę Pigmaliona, których działanie polega na realizacji projektu rzeźbiarskiego w przestrzeni publicznej - figuratywnych rzeźb o naturalnej lub ponadnaturalnej skali odnoszących się do tematu wydarzenia publicznego. Brał udział w wielu wystawach zbiorowych i indywidualnych w kraju i za granicą. Jest twórcą licznych pomników, na przykład profesorów Taylora i Zakrzewskiego przed wejściem do poznańskiego UE, Jana Pawła II w Kościanie czy „Powstańca Wielkopolskiego” w Gostyniu. Ma w swoim dorobku dziesiątki statuetek, medali i tablic pamiątkowych.

**Prof. dr hab. Jacek Strzelecki** - ur. w 1959 r. w Gnieźnie. Absolwent Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Poznaniu. Studiował na Wydziale Malarstwa w poznańskiej PWSSP. Dyplom otrzymał w pracowni prof. Jana Świtki. Stypendysta Ministerstwa Kultury i Sztuki w latach 1984-85. W 1994 r. objął prowadzenie I Pracowni Rysunku na Wydziale Malarstwa w poznańskiej PWSSP i prowadzi ją do dziś. Obecnie profesor zwyczajny Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Brał udział w kilkudziesięciu wystawach zbiorowych, miał szereg wystaw indywidualnych. Jego prace znajdują się w zbiorach państwowych a także w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą. W kilku miastach Wielkopolski jego obrazy zdobią ściany kościołów - Św. Mikołaja w Mosinie, Wniebowstąpienia Pańskiego na os. Wichrowe Wzgórze czy Sanktuarium Najświętszej Krwi Pana Jezusa przy ul. Żydowskiej.

*W numerze wykorzystano zdjęcia obrazów Jacka Strzeleckiego : „Centaur” - s.3, „Lapidarium” - s.9, „Zona Lota” - s.12, oraz rzeźb Wiesława Koronowskiego : „Klaun” - s.4, „Ewa XV” - s.12, „Ewa XVIII” - s.16.*

*Na s. 19 Dorota Strzelecka, Jacek Strzelecki i Wiesław Koronowski.*